Stosunki kościelne na Litwie.

Listy otwarte księdza do księży.

Monachium 1905 - Nakład Jana Zawadzkiego.

Stosunki kościelne na Litwie.

Odbito czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie.

Stosunki kościelne na Litwie.

Listy otwarte księdza do księży.

Monachium 1905 - - Nakładem Jana Zawadzkiego.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

W ciągu lat ostatnich stosunki kościelne na Litwie uległy znacznej zmianie na lepsze.

Biskup Zwierowicz zakończył rządy dyecezyi wileńskiej zmyciem plamy służalstwa i otoczył swą skroń aureolą męczeństwa. Niektórzy jaskrawsi rządowcy-księża przenieśli się do wieczności. Duch narodowy wśród kleru budzi się i rozwija z każdym rokiem. Niemniej książeczka niniejsza będzie pożyteczną i teraz, gdyż zawiera w sobie dużo zbawczych pierwiastków i myśli szerszych, które nie starzeją się nigdy. Jeżeli strona faktyczna „Listów“ nie jest już dziś tak aktualną jak przed laty, to strona ich ideowa jest zawsze młodą. Jako protest szczery i silny przeciwko ugodowo-służalczej polityce większości kleru, szczególniej wyższego, „Listy otwarte księdza do księży“ pozostaną piękną kartą w historyi dyecezyi wileńskiej. Jako wyraz uczuć patryotycznych i humanitarnych odradzającego się pokolenia śród młodszego duchowieństwa, książeczka niniejsza będzie zawsze stanowiła „Credo“ tych kapłanów, dla których nie sam tylko Rzym, ale i nieszczęśliwa ziemia rodzinna jest ukochaną ojczyzną. Tem się tłómaczy nieustające zapotrzebowanie „Listów“, które nas zmusiło do puszczenia w świat drugiej ich edycyi.

* * *

PRZEDMOWA AUTORA.

Mamy w życiu naszem religijno-społecznem dużo palących kwestyj, względem których ogół naszego duchowieństwa i inteligencyi świeckiej zachowuje się z bezmyślną obojętnością. Takie zjawisko wśród duchowieństwa tłomaczę nizkim jego poziomem umysłowym. Przeciętny ksiądz u nas, to rzemieślnik do wykonywania li tylko formalistycznych, obrzędowych przepisów kościoła. Bieżące sprawy dyecezyalne, działalność zwierzchności — mało go obchodzą, o ile nie dotyczą jego własnej osoby. Tłomaczy się ta bezmyślność wychowaniem seminaryjnem. Klerykom wpajają zasadę, zwaną w języku ascetycznym „pokorą umysłu i pokorą serca“. Według tego karygodną zarozumiałością, grzesznem mędrkowaniem, jest poddawanie dyskusyi działalności wyższego duchowieństwa, a szczególniej głowy dyecezyalnej. Brak szerszego wykształcenia, łącznie z zasadą, zabraniającą mędrkowania i nadmiernego rozumowania, skazały księży na rolę pokornych owiec, nie mających nawet prawa pytać, dokąd je pasterz pędzi. Jedni więc na sąd zdobyć się nie umieją, drudzy z powodu skrupułów sumienia nie śmią.

Są jednak tacy, którzy poddają roztrząsaniu bieżące sprawy dyecezyalne, ale tylko w myśli, gdyż nie mają cywilnej odwagi wypowiedzieć głośno swych przekonań, z obawy popsucia sobie karyery; inni nawet pochwalają wszystko, co się dzieje, wbrew przekonaniu, przez pochlebstwo i płaszczenie się przed zwierzchnikiem.

W rezultacie więc mamy brak kryteryum do mierzenia rzeczy i ludzi, lub, co jeszcze gorsza, płaszczenie się i obłudę. Przeciw bezmyślności, obłudzie, tchórzostwu i ciemnocie powstaję w tej pracy.

Wyznaję zasadę, że każdy ksiądz powinien być nietylko księdzem, lecz i obywatelem swej ziemi rodzinnej, nie tylko kapłanem, lecz i patryotą. Praca ta więc będzie ostrzeżeniem przeciwko dążnościom rządu do rusyfikacyi kraju za pomocą skosmopolityzowania a nawet rusyfikowania księży.

Wiem, że się to nie podoba nietylko świeckiej, ale i duchownej władzy. Chodzi mi jednak przedewszystkiem o was, czytelnicy. Jedni z was z oburzeniem odrzucą od siebie te listy, bo z zasady nie czytają rzeczy, nie zaopatrzonych w stempel kościelny lub rządowy. Inni przeczytają, ale nie bez skrupułów i nazwą mnie zapaleńcem, pozbawionym wytrawnego sądu. Jeszcze inni przeczytają i powiedzą o mnie: „ten, co pisał jest więcej patryotą niż księdzem". Będą i tacy, co prawie we wszystkiem zgodzą się ze mną, zarzucą tylko ton zbyt ostry, rażący, sposób pisania zbyt namiętny i gwałtowny.

Nie uważam się za nieomylnego, droga do polemiki otwarta, szczerem wypowiedzeniem się daję możność wyprowadzenia mnie z błędu.

Nikt jednak nie posądzi mnie o pobudki nizkie, jak prywata lub zemsta. Pisałem rzecz tę najbezinteresowniej. Za całą pociechę i nagrodę służy mi poczucie spełnionego obowiązku, za jaki uważam szczere wypo-

wiadanie swych przekonań, jednanie dla nich zwolenników, służenie kościołowi i społeczeństwu w sposób, jaki wydaje mi się najskuteczniejszym i najwłaściwszym. Może się mylę, ale jestem w dobrej wierze i idę za głosem sumienia.

Nie kierowała mną próżność, bom nawet ani na chwilę nie przypuszczał, że mam szczególne zdolności autorskie. Czuję potrzebę wypowiedzenia tego, co mi cięży na sercu, mówię poprostu, jak umiem; rzucam myśli, które mi do głowy przychodzą. Może się znajdzie pióro zdolniejsze, które je lepiej rozwinie i w formę piękniejszą przyoblecze.

I.

Polityka biskupa Zwierowicza wobec rządu.

Uczta Murawiewowska. — „Zdrawia żełajem Wasze Prewoschoditielstwo“. — Szczere lub udane faworyzowanie księdza - rządowca. — Owoce polityki biskupiej.

Najdonioślejszym dotychczas czynem biskupa wileńskiego była obecność na uczcie Murawiewowskiej. Część inteligencyi, tak duchownej jak i świeckiej, przyjęła krok ten obojętnie, część — z oburzeniem; nie brakło i takich, którzy przyklasnęli temu postępkowi, uważając go za szczyt dyplomacyi. Serce jednak każdego prawdziwego Polaka ścisnęło się na wiadomość o tem. Samo już stawianie pomnika dla kata, kiedy jeszcze krew jego ofiar nie zastygła, jest okrutnem znęcaniem się nad narodem ujarzmionym, jest deptaniem po sercach naszych. Samo już zaproszenie biskupa na ucztę pomnikową było ironią i bolesnem lekceważeniem książęcia kościoła, tembardziej obecność pasterza naszego na uczcie, mającej na celu wyraz czci dla tego, który z bezwzględnem okrucieństwem tępił wszystko, co polskie i katolickie, i który po dziś dzień stawianym jest przez rząd za wzór dla wszystkich satrapów wileńskich. Wiem ze źródeł wiarogodnych, że światlejsi i uczciwsi Rosyanie zdziwili się ogromnie, ujrzawszy w sali biesiadnej biskupa katolickiego.

Rozważmy argumentacyę obrońców tego „wysoce dyplomatycznego“ kroku.

W przeddzień odsłonięcia pomnika biskup złożył wizytę przybyłemu z Petersburga ministrowi spraw

wewnętrznych, Goremykinowi; przy pożegnaniu minister wyraził się: „jutro się zobaczymy“. Wobec tych słów biskup nie mógł nie przyjąć zaprosin. To jeden argument na obronę biskupa. Pozwolę tu sobie zapytać: czy słowo i życzenie ministra rosyjskiego jest zasadą postępowania dla biskupa katolickiego, czy biskup nasz ma być pionkiem, posuwanym ręką ministra, czy już nie ma zasad i racyj wyższych i przeciwnych woli kacyków moskiewskich?

Na karcie zapraszającej na ucztę było napisane: „w czest' ministrow“, a nie na cześć pamięci Murawiewa. To drugi argument. Toasty i mowy wyraźnie chyba wskazywały biskupowi: czy na cześć ministrów, czy na cześć Murawiewa trącał się kieliszkiem z Goremykinem, „jeden z pierwszych“, jak pisało *Nowoje Wremia*. Jeżeli jednak w karcie zapraszającej nie było wzmianki o Murawiewie, to tylko dowodzi: 1) że nawet miedzianym łbom służalców rosyjskich zabrakło bezczelności wywiesić na uczcie szyld Murawiewowski, 2) sami służalcy byli przekonani, iż biskup katolicki nie mógłby figurować na obiedzie, wydanym na cześć Murawiewa, 3) że był to manewr dyplomatyczny, obrachowany na naiwność Ekscelencyi, dla łatwiejszego wciągnięcia go do tryumfów moskiewskich.

Biskup przecież nie złamał prawa kanonicznego, obecność na uczcie, to nie udział w poświęceniu pomnika, to nie jest *communicatio in sacris*. W tym obrończym argumencie czuć ten kosmopolityzm naszych księży, który graniczy z patryotyzmem rosyjskim. Pa-

chnie to *raspolaczenijem katolicizma*, które stanowi bodaj najpierwszy punkt programu rosyjskiego w tak zwanym „północno - zachodnim kraju“. Jeżeli takie ucztowanie nie sprzeciwia się prawu kanonicznemu, to sprzeciwia się duchowi chrześciańskiemu, który każe pasterzowi dzielić los swej owczarni. Ucztować na orgii zwycięzkiej wówczas, gdy naród podeptany w grobowem milczeniu zamknął się że łzami w swych domach, to, zaiste, czyn niegodny pasterza katolickiego, który „duszę swą powinien położyć za owce swoje“.

Posłuchajmy teraz głosu uczciwszej części prasy rosyjskiej.

Kiedy gadzinowa prasa rosyjska — *Swiet*, *Moskowskija Wiedomosti* — w swej bezgranicznej bezczelności dziwiła się i oburzała, że Polacy nie biorą udziału w uroczystości Murawiewowskiej, *Pieterburskija Wiedomosti* dnia 8 (20) grudnia 1898 r. zamieściły artykuł, z którego tu przytoczę urywki: „Objaśnić sobie ten chłód Polaków względem obchodu Murawiewowskiego łatwo może każdy Rosyanin, o ile w rozjątrzeniu swojem przeciwko wszystkiemu, co polskie, nie doszedł do ostatecznego krańca. Zdawałoby się, że dostatecznem jest oparcie się na najwyższem poczuciu ludzkości, mimowoli zamykającem usta, gdyby chciał z nich wyrwać się nierozważny zarzut przeciwko Polakom za suche zachowanie się wobec działacza rosyjskiego, który swoim twardym i surowym sposobem działania zadał ostatni cios polskiemu ruchowi powstańczemu... Czyż narodowej miłości własnej dopiero wtedy

stanie się zadość, gdy starty przez nas w proch przeciwnik nietylko poczuje się związanym od stóp do głowy, nietylko uzna się za pozbawionego na zawsze możności jakiejbądź walki, ale zacznie jeszcze śpiewać hymny pochwalne dla swoich zwycięzców?“

„Co to jest? Powrót do tych dawnych minionych czasów, gdy zwycięzcy przymuszali zwyciężonego i rozbrojonego nieprzyjaciela do przejścia „pod jarzmo“, chełpliwie wołając: *Vae victis*.

„A gdybyśmy nawet doczekali się kiedy hymnów pochwalnych, zachodzi pytanie, czybyśmy uwierzyli w ich szczerość? Oczywiście — nie. A więc na cóż nam owe kłamliwe zapały? Chyba tylko na to, abyśmy zyskali nową okazyę do pochełpienia się wobec Polaka i, wytykając go palcem, z wyrzutem szydzić zeń mogli: „Patrzcie, jaki Polak jest obłudny! Widzicie, jak nizko on zeszedł. Murawiewowi dytyramby śpiewa! Ach, panowie Polacy, kiedy wreszcie przestaniecie oszukiwać nas? “

Tak pisze cokolwiek uczciwszy od *Moskowskich Wiedomosti*, *Swieta i Wileńskaho Wiestnika* organ rosyjski. Jak widzimy, z artykułu wieje pogarda dla tych Polaków, co przyłączają się obłudnie do chóru, śpiewającego hymny na cześć Murawiewa. Jeśli tak sądzi pismo, potępiające tylko barbarzyńskie środki *obrusienija* a nie sam cel, to cóż myśli Rosya uczciwa, która na równi z nami ma zakneblowane usta i nie może zabrać głosu w naszej sprawie?

W obronie postępku ks. Zwierowicza posiłkują się

też twierdzeniem, że biskup w działalności swej byłby jeszcze bardziej niż teraz skrępowanym, gdyby nie przyjął zaprosin. Taki argument może wylęgnąć się w głowie tych, co namalują strach na ścianie i sami się go lękają. Z nimi trudno dysputować. *Quod gratis asseritur, gratis reicitur*, mógłbym im powiedzieć. Przytoczenie takiej racyi, że biskup nie może uczestniczyć na uczcie, odbywającej się w kościole niegdyś katolickim, przerobionym obecnie na dom zabawy i hulanki (dla Moskali), — wystarczyłoby nawet satrapie wileńskiemu, tembardziej, że biskup już złożył wizytę ministrowi Goremykinowi i do niczego nie był więcej w danym wypadku zobowiązany względem przedstawicieli władzy. Zresztą niktby się nie zdziwił, gdyby biskupa katolickiego nie było, i niktby nie był pytał o powody jego nieobecności.

Nikt z nas nie wątpi, że nie cześć dla Murawiewa zaprowadziła Jego Ekscelencyę na ten obchód, (chociaż dobry humor w czasie uczty i rozpromienione oblicze jak gdyby za tem przemawiały). Przyczyny szukać należy w tchórzostwie lub dyplomacyi, a właściwie w jednem i w drugiem.

Tchórzostwo nie usprawiedliwia ludzi, postawionych na czele społeczeństwa. Czy wódz umyka z pola walki przez tchórzostwo, czy przez zdradę, to na jedno w skutku wychodzi, — ułatwia zwycięztwo wrogom i ściąga hańbę na siebie. Lecz jeśli to dyplomacya, to bardzo smutna dyplomacya, której rezultatem jest uśmiech politowania u *czynownika*, pogarda u szla-

chetnych Rosyan, oburzenie i żal wśród mieszczaństwa, a zły przykład dla nas wszystkich.

Podobno biskup gorzko żałował swego nierozważnego kroku. Smutek ten jednak i żal został złagodzony i osłodzony niebawem. Nasza arystokracya i plutokracya pospieszyła z wyrazem uznania dla mądrej polityki, niezrozumianej i potępianej przez rozczochraną demokracyę. Przyklaśnięcie za udział w uczcie haniebnej pośród zgrai najeźdzców, rozpierających się i weselących w złupionym kraju, kosztem potu, krwi i łez jego mieszkańców, na cześć jednego z największych potworów ludzkości — to czyn godny duchowych spadkobierców Targowicy.

Gdyby taki postępek, jak udział w uczcie Murawiewowskiej, był jedynym w życiu biskupa, możnaby było go uważać za chwilowy nietakt, pomyłkę — *errare humanum est* — lecz jeśli analogicznych czynów znajdujemy więcej, to wówczas zmuszeni jesteśmy przyjść do przekonania, że są one wynikiem nie pomyłki, lecz programu, przekonań, lub wogóle braku wszelkiego programu, wszelkich przekonań.

W czasie egzaminów klerycy seminaryum wileńskiego powitali wchodzącego gubernatora okrzykiem: *Zdrawia żełajem Wasze Prewoschoditielstwo!* Taki sołdacko-moskiewski okrzyk rozległ się po raz pierwszy w murach seminaryalnych w r. 1897. Biedni klerycy nie mogli po prostu wykrztusić tych wyrazów. Śmielsi zapowiadali milczenie, oponowali przeciwko takiemu rozporządzeniu rektora ks. Bajki. Kierownik seminaryum

stłumił szlachetną opozycyę młodych lewitów słowy: „Kto nie chce słuchać, ten będzie wypędzony z seminaryum“. Tenże sam ksiądz Bajko często powtarza klerykom: „Kto nie będzie starannie uczył się rosyjskich przedmiotów (historyi i literatury rosyjskiej), zostanie wydalony z seminaryum“. Dawniej wszystkie, przez rząd narzucone obowiązki zwierzchność seminaryjna przedstawiała jako *malum necessarium*, dzisiejsza zwierzchność w tychże kwestyach przemawia w sposób, godny przedstawicieli idei Murawiewowskiej. Ks. Bajko jest faworytem biskupa Zwierowicza, przez niego posunięty na godność rektora seminaryum, na kanonika i prałata — w przeciągu paru lat przeszedł tyle stopni w hierarchii kościelnej. Jeszcze jeden stopień a zasiędzie na katedrze biskupiej wileńskiej, mogącej zawakować przez powołanie ks. Zwierowicza na arcybiskupstwo mohylewskie, opróżnione przez śmierć ks. Kozłowskiego. I ks. Bajko i ks. Zwierowicz do takiego awansu mają potrzebne przymioty *błagonadiożnosti* (prawomyślności).

W roku 1898 księża i klerycy, należący do orszaku biskupiego, byli świadkami szczególniejszych względów, jakimi pasterz obdarzał znanego rządowca, infamisa, dziekana oszmiańskiego Sajkowskiego, podczas kanonicznej wizyty w Oszmianie. W czasie ingresu nakazał kaznodziei ks. Kurczewskiemu chwalić z ambony parafię a więc pośrednio i jej kierownika. W plebanii był uprzedzająco grzeczny dla gospodarza, aż do zapomnienia o swej powadze, z którą się nie

rozstaje w stosunku do zwykłych, uczciwych księży. Posłuszny wskazówkom księdza - rządowca, złożył wizytę isprawnikowi (naczelnikowi powiatu) oszmiańskiemu, który, nawiasem mówiąc, był nierad z tych względów biskupa katolickiego, mogących mu popsuć reputacyę u wyższych władz administracyjnych. Przy obiedzie ks. Zwierowicz wniósł zdrowie dziekana z odpowiednią przemową, pełną grzecznych i pochlebnych słów. Nic podobnego nie spotykało księży, nie splamionych przez sojusz z rządem. Obecni księża i świeccy z bólem serca na to patrzyli i tak sobie rozumowali: trzeba być takim Sajkowskim, żeby cieszyć się uznaniem biskupa; toć pasterz nasz nie słowy wprawdzie, lecz swem zachowaniem się stawia nam księdza - rządowca za wzór do naśladowania.

Łotr Sajkowski denuncyował i tym sposobem przez rząd wpakował do klasztoru swego wikarego za to, że ten, szanując prawo kanoniczne, nie zgodził się odprawić żałobnej mszy po śmierci Aleksandra III. Był to fakt świeży. A w przeddzień prawie przyjazdu biskupa usilnie nastawał z ambony, by lud nie spotykał owacyjnie pasterza swego. „Biskup to nie cesarz“ — powiedział wówczas Sajkowski.

Jesteśmy skłonni wierzyć, a nawet wierzymy, że tak uprzedzająco grzeczny sposób postępowania biskupa płynął nie z uznania dla łotra-księdza, lecz z tchórzostwa przed *błagonadiożnym* stronnikiem rządu, protegowanym i faworyzowanym przez władzę. Z jakichkolwiek pobudek płynie taka taktyka pasterza, prowa-

dzi ona do jednego rezultatu: usuwa dla księży-infamisów hamulec, jakim jest powaga biskupia, prowadzi do stawiania na jednym poziomie łotrów i zacnych księży, bałamuci i obniża wymagania opinii publicznej, podkopuje zaufanie i szacunek dla biskupa.

Trudno bronić biskupa, nawet doprowadziwszy wymagania do *minimum*. Jeśli już lękał się gniewu księdza-rządowca, nie chciał drażnić licha, nie potrzebował starać się o jego względy za pomocą uprzedzającej grzeczności. Należało trzymać się zimnej, konwencyonalnej grzeczności. Nie zachwiałby swej powagi i nie zniechęcałby do siebie inteligencyi świeckiej i duchownej.

Taka uniżona uległość rządowi ma służyć interesom kościoła, dać swobodę działania biskupowi? Tyle lat uległości musiało już przynieść owoce dla dobra kościoła. Przyjrzyjmy się im.

Infamisi dziekani i proboszczowie siedzą na wygodnych probostwach i ani włos im z głowy nie spadł. Rosyjscy profesorowie w seminaryum zwiększają wymagania z literatury i historyi rosyjskiej. Domowy areszt z księży nie zdjęty. Procesye poza kościołem nie przywrócone. Zakaz śpiewania przy kondukcie żałobnym nie odwołany. Kościoły zabrane nie zwrócone. *Niebłagonadiożnych* księży na probostwa rząd nie zatwierdza. Nakoniec taka abdykacya biskupa z ideałów patryotycznych nie przeszkodziła generał-gubernatorowi Trockiemu w najpoddańszym memoryale, złożonym

u stóp cara, zalecać ściślejszej kontroli przez wprowadzenie do seminaryum agentów rządowych, którzyby mieli współudział w kierownictwie tegoż. Oto są zdobycze polityki posłuszeństwa rządowi we wszystkiem, co się nie odnosi do spraw kościoła. Jeśli twierdzicie, że polityka zaprzaństwa narodowego wychodzi na dobro kościoła, pokażcie mi jej owoce. Że biskup cieszy się zaufaniem rządu, że może zostać arcybiskupem mohylewskim — to dobro osobiste jego, ale co na tem zyskał kościół?

II.

Postawa duchowieństwa względem rządu.

Duch Żylińskiego. — Cztery kategorye księży. — Postawa ludu naszego względem rządu. — Seminaryum wileńskie. — Idea nawracania Rosyi na katolicyzm.

Biskup w swej polityce służalczej nie jest odosobniony. Otoczenie, kapituła, niewątpliwie ma wpływ na pasterza, znanego z braku samodzielności i odwagi. Żylińskiego nie ma już na świecie, ale duch jego epoki żyje jeszcze, sprowadzony wprawdzie do rozmiarów mniejszych, ale żyje. Symonii nie ma, prawo kanoniczne uszanowane, ale historyczne i cywilizacyjne prawo narodu podeptane nie mniej, jak za czasów Żylińskiego. Jako katolicy stoimy trochę wyżej, ale jako obywatele swej ziemi, jako Polacy, nie górujemy nad ową epoką zaprzaństwa narodowego. Duchowieństwo starsze wiekiem w ogromnej większości hołdowało Żylińskiemu, ks. Zwierowicz w swoim czasie też bił czołem przed samozwańczym uzurpatorem władzy dyecezyalnej; wiemy, niestety, coś o tem.

Duchowieństwo nasze ze względu na stosunek do rządu rosyjskiego i jego polityki można podzielić na cztery kategorye.

Do pierwszej zaliczymy infamisów, którzy oparli się na rządzie dla uniknienia kary za życie bezecne. Są to cynicy bez iskierki uczuć religijnych i ludzkich. Wyniesieni w czasach Żylińskiego na dziekanie i pierwszorzędne probostwa, obdzierają lud i żyją w bezwstydzie, pod opieką rządu. O nich nie wiele mam do po-

wiedzenia, gdyż są nieliczni i przez ogół katolicki napiętnowani, jako łotry i zdrajcy kościoła.

Do drugiej kategoryi należą mniej lub więcej przywiązani do kościoła, ale zupełnie obojętni dla nieszczęśliwej ojczyzny. Odczuwają ucisk religijny, ale nic ich nie obchodzi ucisk narodowy. Są oni nieprzyjaciółmi rządu dzięki li tylko prześladowaniom religijnym, ale niech te ustaną, księża ci będą głosili dobrodziejstwa i wspaniałomyślność rządu. Nieźli może katolicy, ale marni Polacy lub Litwini. „Nasza ojczyzna — Rzym, a nasz patryotyzm to brewiarz“, często powtarzają oni. Dla nich obcą jest historya i literatura polska, a trzymają się języka polskiego dla tego tylko, że związany u nas z katolicyzmem. Z polskich pism prenumerują jedynie *Przegląd katolicki* i *Misye katolickie*, a i to dlatego, że w języku rosyjskim pism katolickich wcale niema. Swobodę religii katolickiej gotowiby byli okupić wyrzeczeniem się wszystkiego, co polskie, i z łatwością wystąpiliby z kazaniem rosyjskiem, byleby tyłko Ojciec święty na to pozwolił. Cytując słowa Chrystusowe: „oddaj, co jest cesarskiego, cesarzowi“, powtarzając często aforyzm: „wszelka władza pochodzi od Boga“, akcentują swą katolickość rosyjską *). Różnią się od księży pierwszej

*) W wyrażaniu przywiązania do tronu, księża prześcigają niekiedy popów prawosławnych. Dziekan lidzki Sienkiewicz przyozdabia bramę kościelną w dnie galowe transparentem, na którym wyobrażony monogram cara i carycy z nadpisem „*Boże cara chrani*“. Ks. Kuczewski witał w Ejszyszkach gubernatora

kategoryi przekonaniami ściśle katolickiemi i życiem nienagannem, podobni są do nich zaprzańbstwem. Na ogół stokroć są niebezpieczniejsi od pierwszych. Tamci noszą na czole wyraźne piętno rządowców-infamisów, piętno, które ostrzega owieczki przed wilkiem; ci zaś swem przywiązaniem do kościoła i moralniejszem życiem usypiają instynktową czujność owczarni i wiodą ją do celów, przez rząd nakreślonych. Są to „*raspolaczennyje ksiendzy*“, pomagający rządowi w odpolszczaniu katolicyzmu t. j. w rusyfikacyi kraju. Niebezpieczeństwo od nich tem większe, że liczą się nie na jednostki, jak pierwsi, lecz na dziesiątki. Obecnie rządy dyecezyalne idą w ich myśl.

Do trzeciej kategoryi zaliczę tych, co nie są stronnikami rządu, żywią w swem sercu trochę przywiązania do wszystkiego, co swoje, do pracy jednak narodowo-społecznej ręki nie przyłożą, chociaż w duszy jej błogosławią. Jedni sądzą, że wypełnianie obowiązków kościelnych jest już zarazem wywiązaniem się z narodowych. Drudzy jarzmo rosyjskie uważają za rózgę, którą Bóg chłoszcze za karę swe dzieci, ale gdy się poprawią i za grzechy odpokutują, narzędzie kary połamie. W tej nadziei siedzą z założonemi rękami, zwalając wszystko na Boga. Inni znowu stracili wiarę

---

wileńskiego mową, w której cara nazwał słońcem, a gubernatora promieniem tego słońca. Obiecał nawet umieścić w kościele marmurową tablicę z datą bytności gubernatora. Do niedawna księża spotykali generał-gubernatorów w szatach kościelnych (komża, kapa), co jest zabronionem przez prawo kanoniczne.

w możność i skuteczność walki i w niemem milczeniu przyglądają się zalewającej Litwę fali rosyjskiej. Są i tacy, którzy mówią: „to rzecz świecka bronić przed wynarodowieniem, my ograniczamy się pracą li tylko religijno-kościelną“. Wspólną cechą tej kategoryi jest nierobienie nic dla społeczeństwa i kraju, chociaż życzą mu szczęścia i jaśniejszej przyszłości. Jest to jakiś patryotyzm bierny, bez rumieńca życia, bez programu, bez czynu, raczej instynktowny, niż świadomy. Ta trzecia kategorya jest najliczniejsza, stanowi ona ogromną większość naszego duchowieństwa.

Do czwartej kategoryi zaliczam malutką garstkę kapłanów-obywateli. Serce ich pała miłością i do niebieskiej i do ziemskiej ojczyzny. Są kapłanami i w świątyniach religijnych i w „narodowych pamiątek kościele“; służą u ołtarza wiary i u ołtarza ojczyzny. Jako katolicy pobożnie obchodzą święta kościelne, jako Polacy i Litwini czczą święta narodowe. Dla nich nie jest obojętnym dzień „Konstytucyi 3-go maja“, ani uroczystość odsłonięcia pomnika Mickiewicza. Żywiąc cześć religijną dla świętych, ojczyznę niebieską zamieszkujących, czczą zarazem pamięć bohaterów i geniuszów, którzy są chlubą narodu i strzegą, by imię jego nie zostało wymazane z ksiąg żywota. Takich jednak jest mało, można ich na palcach policzyć. To kropla w morzu, tembardziej, że wpływu na rządy dyecezyalne, ani na kierunek seminaryum, nie mają żadnego.

Widzimy więc, że ogół kleru naszego, z wyjątkiem małej garstki, dla obrony narodowej nic nie czyni.

Przeciętny ksiądz u nas, to mniej lub więcej ślepe narzędzie, wystraszony niewolnik rządu.

Jednej rzeczy nie rozumiem, mianowicie, dlaczego rząd tak się obawia naszych księży. Powinien by raczej rozdawać więcej orderów za *wiernuju służbu cariu i otieczestwu*. Naprawdę rząd przecenia nasze siły, za dobre ma o nas wyobrażenie. Gdyby znał naszych księży, mógłby sobie spokojnie spoczywać na laurach.

Nie, nie! Niebezpieczeństwo dla dążności rusyfikatorskich tkwi nie w duchowieństwie, lecz w inteligencyi świeckiej, w mieszczaństwie, w masach nawet ludowych. Pomimo rusyfikatorskich wpływów szkoły i wojskowości, lud nasz jeśli nie wrogo to obojętnie względem rządu jest usposobiony. Lud to biała karta, na której nic jeszcze nie napisane. Dobrodziejstwa uwłaszczenia nie są dziś odczuwane przez młode pokolenia, które nie znały pańszczyzny. Gospodarstwa wskutek rozrostu ludności drobnieją, a z niemi drobnieje i wdzięczność dla „wspaniałomyślnego“ rządu. Ucisk religijny, trudność dostania w swym kraju chleba dlatego tylko, że się jest katolikiem, otwierają chłopom oczy. Zdzierstwo, łapownictwo, buta „czynowników“ wszelkiego autoramentu, nie budzą w ludzie sympatyi dla rosyjskich porządków. A taki pomnik Murawiewa rozbudził patryotyzm nawet w praczkach i dewotkach wileńskich. Mojem zdaniem rząd rosyjski uciskiem religijnym, nizkością moralnego poziomu swych *diejatieli*, przeszkadza własnemu dziełu i ułatwia „pol-

ską propagandę" (tak nazywa rząd polską kulturę, zaszczepioną i rozwijającą się przez tyle wieków w dobrowolnem połączeniu Polski i Litwy). Lud nasz, złączony z Polską wiarą, pacierzem, książką do nabożeństwa, wspólnymi śpiewy religijnymi, wspólną niedolą, więcej w duszy ciąży ku niej, niż ku Rosyi. I gdyby przeciętnego chłopa zapytać: jakiej chcesz szkoły — polskiej czy rosyjskiej, w jakiem wojsku chcesz służyć — w polskiem, czy rosyjskiem, napewno wybrałby polską szkołę i wojsko polskie. Lud nasz nie stał się patryotycznym po rosyjsku i bez żalu, jeśli nie z radością, przeszedłby pod władzę innego rządu.

Śmiało konkluduję, że w masach społeczeństwa naszego więcej jest odpornego żywiołowo pierwiastku, niż w duchowieństwie, wychowywanem bardzo kosmopolitycznie i bardzo lojalnie w seminaryum, a zdemoralizowanem w życiu późniejszem.

Brak poczucia obywatelskiego w naszych księżach daje się wytłumaczyć wychowaniem seminaryjnem. Przygotowują tam wierne sługi katolicyzmu, ale nic nie mówią o służeniu krajowi. Rząd tak chce i życzeniom jego staje się zadość. Wówczas, gdy profesorowie rosyjscy na lekcyach historyi i literatury rosyjskiej nie opuszczą żadnej sposobności wpajania klerykom przekonań rusofilskich, już to przez wykazywanie piękności mowy i literatury rosyjskiej, już to przez podkreślanie sławnych momentów w dziejach narodu rosyjskiego, profesorowie duchowni nic nie czynią dla zaszczepienia miłości ku literaturze i historyi swojskiej.

Kleryk opuszcza seminaryum, znając dobrze Puszkina, Lermontowa, Żukowskiego, Gogola, a nie mając często pojęcia o Mickiewiczu, Słowackim, Krasińskim, a nawet Sienkiewiczu, jeżeli przypadkiem w czasie wakacyjnym nie wpadnie mu dzieło poety lub powieściopisarza polskiego do ręki. Na pamięć umie historyę rosyjską, a o polskiej nie ma najmniejszego wyobrażenia. Nawet ducha opozycyi względem rządu, opartego na podboju i knucie, traci w seminaryum, słysząc często zasadę: „wszelka władza pochodzi od Boga, należy stosować się do jej woli we wszystkiem, co się nie sprzeciwia prawom kościoła". O obronie praw narodu nie słyszy ani słowa. Może ostrożność zamyka usta profesorom i zwierzchnikom, przykład seminaryum kieleckiego zdaje się taką ostrożność usprawiedliwiać. Ale dla czego nie rzucą kilku słów z zakresu obowiązków obywatelskich nawet tym, co już się wyświęcili na kapłanów? Dla czego choć przy pożegnaniu, na cztery oczy, nie napomkną o miłości dla swej ziemi, mowy, narodowości? Dla czego z ust biskupa nie słyszymy nigdy kapłańsko-obywatelskich wskazówek? Czy też z braku ufności? Przyczyna tego wymownego milczenia dla mnie jasna. „Z obfitości serca usta mówią", powiada Pismo Św. Nie ma tam obfitości, gdzie usta milczą.

Taka kilkoletnia atmosfera kosmopolityzmu i lojalizmu gasi i te iskierki uczuć patryotycznych, które klerycy wynoszą z domu. Niewątpliwie niejeden przynosi do seminaryum spaczone pojęcia narodowe już ze

szkół rządowych, gdzie profesorowie są nietyle pedagogami, ile urzędnikami i narzędziami polityki rosyjskiej, gdzie podręczniki historyi służą celom rządowym, podkreślają smutne, ciemne karty z dziejów naszej przeszłości, a świetne i wzniosłe pomijają milczeniem; gdzie w umysły młodzieńcze wpajają, że Litwa już przed połączeniem się z Polską była prawosławną i rosyjską, a tylko intrygi polskie wytrąciły ją z tej wskazanej przez opatrzność drogi i oddały na łup Polski, która jak powój obwiła się około litewskiego dębu, czerpiąc zeń soki i życie, aż wyssany dąb runął a z nim powój. Ale oto teraz Litwa i Ruś wróciły na drogę swego przeznaczenia dziejowego, i, w miarę usuwania naleciałości polskich, Litwa odradza się, rozwija i kwitnie pod opieką sławnej, wielkiej Rosyi, szczególnie od czasów Murawiewa, który raz na zawsze wyzwolił kraj z pod jarzma polskiego. Nie każdy umysł, szczególniej umysł młodzieży z pierwszych klas, ma dosyć krytycyzmu do zwątpienia w prawdziwość tych urzędniczych wykładów, nie każdy szuka źródeł innych do wyjaśnienia swych wątpliwości, nie każdemu wpadnie bezstronna historya do rąk, szczególniej u nas, gdzie prawda historyczna obcina się nożycami cenzorów rosyjskich. Tak kształci szkoła rosyjska, a seminaryum nasze duchowne wileńskie rusyfikatorskich wpływów nie myśli neutralizować, raczej je utrwala. Szkoła rządowa i duchowna-katolicka podały sobie ręce, a owocem tego sojuszu — duch naszych księży: obojętny, jeśli nie wrogi dziełu obrony narodowej.

Jak duch pokutujący błąka się wśród duchowieństwa naszego idea nawrócenia Rosyi na katolicyzm. Przez wyrzeczenie się ideałów narodowych chcą zapewnić powodzenie ideałom religijnym. Idea ta doszła punktu kulminacyjnego w piątym dziesiątku lat, kiedy liczni przedstawiciele arystokracyi rosyjskiej zaczęli zagranicą przechodzić na łono kościoła katolickiego. Martynow, Golicyn wiedli gorliwą polemikę w obronie katolicyzmu, a współczesny nam myśliciel rosyjski Włodzimierz Sołowiew nawoływał niedawno jeszcze Rosyę do połączenia się z kościołem zachodnim. Podobno dziś nawet w Petersburgu są rodziny arystokratyczne, duchem należące do katolicyzmu, jak np. książęta Wołkońscy. Obecnie ruch na korzyść katolicyzmu ustał zupełnie. Być może w Petersburgu są jednostki, które w urzędowem prawosławiu nie znajdują zaspokojenia swych religijnych potrzeb duchowych i szukają innej, wznioślejszej, niezależnej religii. Ale kogoż nawracać myślicie u nas? Czy te szumowiny społeczeństwa rosyjskiego, co napłynęły tutaj, aby wzbogacić się i używać kosztem złupionego kraju, czy może te wyrzutki naszego społeczeństwa, które dla posady, dla urzędu frymarczą sumieniem? czy może te nasze Polki, co wychodzą za Moskali i, czując przypływ spóźnionego patryotyzmu, uczą swe małe kacapiątka po polsku — hodując najlepszy materyał na szpiegów rządowych? Nie! ci nie porzucą prawosławia, które już w tem życiu daje swym wyznawcom raj w *Siewiero-zapadnom*, *Jugo-zapadnom i Priwislanskom* krajach. Zresztą

jaka może być mowa o nawracaniu u nas, gdzie nie sumienie, nie przekonanie, lecz ukazy carskie i policya wyznacza religię? Najwyżej może być mowa o jednaniu sympatyi dla naszej wiary. Zgoda! Ale czy do tej sympatyi wiedzie droga zaprzaństwa narodowego? Nie! Cześć dla siebie, dla naszego kościoła, możemy pozyskać jedynie przez wyższość umysłową i moralną. Niech słowo „ksiądz“, które dziś stało się synonimem sybarytyzmu, chciwości i obłudy, stanie się równoznacznikiem wyrazów: rozumny, sprawiedliwy, bezinteresowny, pełen miłości dla cierpiących, a wówczas nawet „stupajki“ moskiewskie schylą przed nami głowy, tak jak świat pogański ukląkł przed męztwem, czystością moralną i poświęceniem się pierwszych chrześcian. Niestety! my z pierwszymi chrześcianami nic prócz nazwy nie mamy wspólnego. Wrócić do miłości Boga i bliźniego, do poświęcenia się, gotowego na męczeństwo, bez zrzeczenia się praw narodowych i historycznych — oto jedyna droga ku wywalczeniu lepszej przyszłości tak dla kościoła, jak dla kraju. Droga politykowania, obłudy, podłej uległości, doprowadzi nas do tego, że naród nami wzgardzi, a Moskale lekceważyć nas będą i kopną jak psa, co natrętnie do nóg się ciśnie.

III.

Patryotyzm a katolicyzm.

Czy patryotyzm nie daje się pogodzić z kapłaństwem katolickiem? — Czy Polski już nie ma? Przykład Leona XIII. — Kalectwo duchowe. — Nasza kastowość. — Znaczenie polszczyzny dla kościoła u nas. — Ks. rektor Bajko. — Ślepe posłuszeństwo.

Często zdarza się słyszeć z ust naszych księży, że patryotyzm nie daje się pogodzić z duchem kapłaństwa katolickiego. Takie twierdzenie ubliża naszej religii; patryotyzm to jedno z praw, które Bóg sam wypisał w sercu człowieka; kościół, mieniący się Bożym, praw tych łamać nie będzie. Kościół każe czcić ojca i matkę, miałżeby zabraniać miłości dla ojczyzny, która jest matką nas wszystkich, bo chlebem swym nas wykarmiła, śpiewem swych ptasząt, szumem lasów nas wykołysała, kwieciem łąk i pól nasze życie umaiła? Nie — to nonsens! Każda garść ziemi naszej jest nam drogą i sercu naszemu blizką, bo przesiąknięta potem, krwią i łzami naszych praojców, naszych męczenników za wiarę i ojczyznę.

„Kapłan katolicki kochać powinien wszystkie narody". Zgoda! A więc i swój naród, tembardziej, że skrzywdzony i nieszczęśliwy. Jeśli widzę dwóch walczących, z których jeden się broni, drugi napada, to, oczywista, moje uczucie chrześciańskie każe stanąć w obronie napadniętego. Ewangelia każe kochać wszystkich, ale więcej swą matkę, niż cudzą, szczególniej, gdy ta swoja napadnięta przez zbója, pokaleczona, broczy we krwi i we łzach własnych. Duch religii naszej

nie zabrania bronić przeciwko złodziejstwu swej własności, jeżeli nią będzie pieniądz, ubranie, chleb, sprzęt, a tembardziej skarbów stokroć droższych, jak wiara, język, tradycye, godność narodowa, słowem to wszystko, co jest naszym historycznym i kulturalnym dorobkiem i czem Bóg nas z pomiędzy reszty ludzkości wyodrębnił.

Powiem nawet, że w naszych warunkach brak patryotyzmu sprzeciwia się duchowi kapłańskiemu. Nie bronić kraju przeciwko rusyfikacyi byłoby to grzesznem, obojętnem przyglądaniem się, jak silny krzywdzi słabego, jak zwycięzca depce zwyciężonego; byłaby taka obojętność zaprzeczeniem zasad ewangelii, które każą brać w opiekę maluczkich i słabych przeciw brutalnej przemocy.

Niektórzy swą neutralność nazywają godzeniem dwu powaśnionych narodów. Wilk trzyma barana w paszczęce, ja patrzę na to z założonemi rękami, jestem neutralny t. j. nie przeszkadzam wilkowi zjeść barana. Owszem, od czasu do czasu rzucę słowa: „baranie, po co beczysz i wyrywasz się, daj się zjeść wilkowi w milczeniu". Właściwie więc jestem sprzymierzeńcem wilka przy takiej neutralności. W taki sposób księża nasi godzą dwa powaśnione narody.

„Tu Polski niema, tu Rosya", powiada *Wileńskij Wiestnik* i urzędnicy rosyjscy. W ustach takich — to dla mnie zrozumiałe, ale słowa te w ustach księży przejmują dreszczem zgrozy. Niema Polski na mapie geograficznej, ale żyje ona w dwudziestomilionowym

narodzie, zjednoczonym przez wspólną przeszłość historyczną, przez wspólną wiarę, literaturę, obyczaj, kulturę, przez wspólne jarzmo i wspólną niedolę. Nazwijmy ziemię naszą ojczystą nie Polską, lecz Litwą, jak i za czasów Rzeczypospolitej, a już w żadnym razie nie Rosyą. Z rozbiorem Polski, z wykasowaniem jej z mapy, nie przestała istnieć ona, zmieniła się tylko forma jej istnienia. Wprawdzie ta nowa forma czyni ją nieszczęśliwą, cierpiącą, skrzywdzoną, ale to chyba nowe jej prawo do naszej miłości. Czyż wiara Chrystusowa nie każe jeszcze bardziej do serca przygarnąć tego, co cierpi? Czyż język rodzinny nie staje się droższym już przez to samo, że nam chcą go wydrzeć, że przed oczami są tabliczki z napisem: „*Po polski gowori*ť *wosprieszczajetsia*"? Czyż historya nasza nie staje się godniejszą naszych studyów już przez to samo, że ją w pismach, szkołach, Moskale błotem obrzucają? I czy nie pobudza nas do tem gorliwszego bronienia Litwy przed rusyfikacyą już jedna ta okoliczność, że w bezgranicznej swej bezczelności Moskale nazywają ją: „*iskoni russkaja ziemla*"? Wszak kościół nasz jest obrońcą praw nietylko jednostki, lecz i narodu. Czyż religia, która ogłasza się Chrystusową, byłaby nią, gdyby nie broniła słabszych narodów przeciwko naciskowi silniejszych?

Leon XIII. na wieść o rozbiciu wojsk włoskich przez Menelika pod Aduą w r. 1895, kazał wywiesić w Watykanie czarne chorągwie na znak żałoby po klęsce ojczyzny. Ten przykład głowy kościoła naszego

chyba zamknie usta tym, którzy dowodzą rzekomej sprzeczności patryotyzmu z duchem katolickim. Papież wyraźnie w tym czynie pokazał, że jest nietylko kierownikiem katolicyzmu, lecz Włochem, synem swej ziemi i że nie tylko dobro kościoła lecz i pomyślność ojczyzny leży mu na sercu *).

A nasz Skarga, czy nie w patryotycznych kazaniach sejmowych zostawił największe arcydzieła natchnionego krasomówstwa i czy pomimo to, albo właśnie dlatego nie jest wzorem kapłana katolickiego i polskiego?

Nasi księża kosmopolici mogą sobie powinszować, że pod względem patryotyzmu stoją na jednym poziomie z Żylińskim, Niemekszą, Tupalskim, a z żyjących z Sęczykowskim, Zauścińskim, Jurgiewiczem, Jusiewiczem, Warpachowskim, Sajkowskim i t. d. Ci księża wyrzekli się tylko polskości; zaznaczają, że są z wyznania katolikami i kochają bardzo swój kościół.

Uzasadniać dowodami miłość wszystkiego, co ojczyste, rzeczą trudną, że nie powiem niemożliwą. Patryotyzm jest raczej kwestyą serca, niż rozumu, uczucia niż dowodzenia. Kto tego zmysłu niema, ten kaleka.

---

*) Nr. 34 *Gazety polskiej* 1900 r. na tytułowej stronicy pod nagłówkiem »z Rzymu« czytamy ustęp z mowy arcybiskupa Kapuy, kardynała Capocelatro, do wychowańców tamtejszego seminaryum duchownego: »Miłość ojczyzny, mówi kardynał, jest uczuciem wzniosłem, jest to miłość chrześciańska, natchniona od Boga do serc ludzkich. Kochać ojczyznę znaczy tyle, co chcieć ją widzieć niezależną i wolną«.

Mówić mu o miłości dla ziemi ojczystej jest to samo, co ślepemu od urodzenia rozprawiać o piękności łąk, pól i lasów rodzinnych. Nie przeznaczam mej pracy dla tych, co tego zmysłu nie mają. Takich jednak jest mało, są to monstra a monstrów natura wiele nie wydaje.

Większość jednak ludzi, a nawet księży, nie jest pozbawiona tego naturalnego uczucia, tej iskierki świętej, która może przy sprzyjających warunkach zapłonąć czystym, jasnym, ożywczym ogniem. Ci nawet, co rzekomo nie znają innej ojczyzny nad Rzym, kłamią przed sobą. W głębi duszy ich tli gdzieś iskierka święta. Jeżeli mi się uda choć kilka iskierek takich rozżarzyć, będę za mą pracę, w dobrej intencyi podjętą, zupełnie wynagrodzonym. Ale wracajmy do rzeczy.

Śmiało twierdzę, że w naszych warunkach usuwanie się księży od pracy obywatelsko - społecznej jest ogromnie szkodliwem dla kościoła naszego. Przedewszystkiem zniechęca do nas inteligencyę świecką, która czyni nam dużo słusznych zarzutów; sformułować je można w tych słowach: „Nie mamy zaufania do księży, ponieważ nie łączą się z nami w walce, podjętej w imię najświętszych praw narodu. Nie możemy czuć silnego przywiązania do kościoła, którego przedstawiciele służą interesom Rzymu, nie wiele zdają się mieć na względzie potrzeby kraju i powtarzają bez skrupułu: „niech ginie Polska, byle kościół kwitł i rozwijał się“. Wo-

bec takich słów zachwiewa się nasza wiara w to, że kościół, co tak mówi przez usta swych sług, jest Chrystusowym".

Zarzutom takim trzeba zadać kłam. Stanie się to wówczas tylko, gdy staniemy się kapłanami - obywatelami, gdy porzuciwszy samolubstwo kastowe i pozowanie na powagę, nie będziemy się uważali za istoty, z lepszej gliny stworzone, i oddzielali od społeczeństwa, jak kasta kapłanów egipskich; gdy zbliżymy się do świata nie tylko na gruncie, że tak powiem, oficyalno-religijnym, lecz zjednoczymy się z nim na polu ideałów tak pięknych i sprawiedliwych, jak praca narodowo-społeczna. Wtenczas i powaga nasza w oczach społeczeństwa wzrośnie. Duchowni i świeccy nie będą sobie obcymi, nawzajem nierozumiejącymi się i potępiającymi, lecz zjednoczeni węzłami miłości dla wiary i ojczyzny pójdą zwartym, potężnym szeregiem na bój duchowy z Moskwą i prawosławiem. W takiem zjednoczeniu uczuć religijnych i narodowych widzę siłę i zwycięztwo nasze.

Moc tej łączności wiary z narodowością rozumie rząd rosyjski doskonale, to też stara się tych sprzymierzeńców rozdzielić, by każdego pojedyńczo łatwiej zwyciężyć. Teraz uderza przeważnie na narodowość, przywracając od wstąpienia na tron Mikołaja II większą swobodę kościołowi. Chce tym sposobem księży pozyskać i potem z tem większą pewnością zwycięztwa na polskość uderzyć. W szkole usilnie pracuje nad przekonaniem nas, że tu „iskoni russkaja ziemla",

żeśmy Rosyanie katolickiego wyznania. W części praca ta mu się udaje; pośród duchowieństwa ma niemało zwolenników; niech ucisk religijny zmniejszy, a będzie miał ich jeszcze więcej. Za duchowieństwem pójdzie lud. Katolickie więc duchowieństwo posłuży za narzędzie w ręku rządu do narodowego i kulturalnego zjednoczenia nas z Rosyą. Tak się dokona „objedinienije okrain“ państwowe, a tam już łatwiej pójdzie zjednoczenie religijne na łonie „prawosławia“. Małżeństwa mieszane staną się rzeczą codzienną i w tempie coraz szybszem poprowadzą do celu przez rząd zakreślonego. Już dziś w parafiach kresowych ilość katolików się zmniejsza z każdym prawie rokiem, nie zważając na przyrost naturalny.

Ten proces „oprawosławienia“ dokonywa się na kresach białoruskich. Fakt ten wskazuje, że zbliżenie językowe i plemienne ułatwia zjednoczenie się religijne. Z nawracaniem na prawosławie ludu polskiego i litewskiego nie idzie tak łatwo. W interesie więc kościoła leży podtrzymywanie polskiego i litewskiego języka.

Teraz chyba jasnem się staje, dla czego Moskwa od czasu rozbioru Polski usiłuje wyrugować polszczyznę z kościołów naszych i dla czego Papieże temu się opierają. Zbyteczną chyba rzeczą byłoby nadmieniać, że nie patryotyzm polski ale interes kościoła kieruje stolicą apostolską. Już więc ksiądz katolicki, nawet pozbawiony uczuć politycznych, jeśli tylko rozumie interesy kościoła swego, będzie na wzór Rzymu, tej naj-

wyższej dla siebie powagi, bronił i popierał z całych sił swoich polski język, jako szaniec obronny katolicyzmu, jako zaporę prawosławiu i przeciwwagę rosyjskości. Biskup Borowski w liście pasterskim do podwładnych kapłanów i wiernych śmiało powiada: „Język polski jest przedmurzem katolicyzmu i szańcem obronnym przeciwko schyzmie“. Wywieziono biskupa za to na długie lata do Penzy.

Ażeby odłączyć unię od Rzymu, użył rząd, jako środka, odłączenia unii od polskości: „Duchowieństwo grecko-unickie, pisze Siemaszko, powinno być wychowanem w zupełnem przekonaniu, że język rosyjski jest jego ojczystym językiem, a podobne przekonanie nie prędko jeszcze zapuści korzenie, bo język polski cieszy się ogromnem powodzeniem“. Plan Siemaszki okazał się bardzo skutecznym. Od czasu wychowania duchowieństwa unickiego w duchu patryotyzmu rosyjskiego wprowadził on powoli język rosyjski w dodatkowem nabożeństwie w kościołach unickich, a w lat 20 po owem piśmie Siemaszki unia kościoła białoruskiego z Rzymem została pogrzebaną.

Ten środek rusyfikacyi kleru, tak skuteczny względem unii, rząd w miarę możności zastosowuje względem katolicyzmu. Pierwszych prób, niebezowocnych dokonał za czasów Żylińskiego. Ostatnimi czasy zrusyfikowano za pomocą biskupa Zerra seminaryum saratowskie, wykłada się tam język niemiecki i rosyjski: niemiecki dla Niemców, rosyjski dla Polaków i Litwinów. Rząd nosi się z myślą uczynienia tego samego

z seminaryum mohilewskiem, wileńskiem i żytomierskiem. Uważa to jednak za przedwczesne, a chce zacząć od ustanowienia nowego urzędnika, swego agenta i kontrolora w seminaryach.

Czy projekt ten dojdzie do skutku, trudno przesądzać, przyszłość to pokaże. Biskupi nasi nie wszyscy odznaczają się dalekowidztwem politycznem i odwagą apostolską. Rząd czeka tylko na Siemaszkę łacińskiego i kto zaręczyć może, że nie doczeka się go kiedyś. W naszem duchowieństwie niezliczona moc kandydatów na rolę Siemaszki. Jedni przez renegactwo, drudzy przez ideę nawrócenia Rosyi, inni przez jakiś kosmopolityzm katolicki, inni przez mądrą dyplomacyę a jeszcze inni przez tchórzostwo gotowi są stać się narzędziem do rusyfikacyi seminaryów, kleru i kościoła. Obecny rektor seminaryum naszego prałat ks. Bajko usilnie zaleca klerykom język rosyjski, przypomina, że jest piękny, wykazuje pożytki z jego posiadania *). „Będziecie pierwszą osobą w towarzystwie rosyjskiem, gdy będziecie mówić wzorowo po rosyjsku“, mówi ks.

*) Że piękny, nie zaprzeczam, chociaż połowa słownika jego to przypomnienie różnych bolesnych albo przykrych zajść naszego życia. Piękny, tak dalece piękny, »że niema takiej podłości, którejby mowa rosyjska w płynne i dźwięczne słowa ująć nie potrafiła«. Np. zagładę kultury naszej nazywa »objedinienije«, urągowisko z tej zagłady zowie się »primirenje«, bezprawie i samowola kacyków-satrapów nazywa się »administratiwnym poriadkom«, palenie żywcem rodzin unickich »wozsojedinienijem«, topienie kobiet i starców w Krożach »umirotworenijem kraja«. (List otwarty do księcia Uchtomskiego).

Bajko do swych wychowańców. Swe sympatye dla rosyjskich przedmiotów poparł ks. Bajko nie samemi tylko słowy, lecz i czynem.

Dawniej, za mego pobytu w seminaryum mógł kleryk przejść z rosyjskich przedmiotów na kurs następny a z duchownych zostać. Obecny ks. rektor wydał rozporządzenie, że kto nie zdał egzaminu z duchownych, zostaje na tym samym kursie i z rosyjskich. Rezultat tego nowego pomysłu rektorskiego jest ten, że niejeden kleryk zamiast kuć rosyjskie przedmioty przez lat cztery, ślęczy nad nimi lat pięć i sześć i więcej, zależnie od tego, na ilu kursach ma zostać przez dwa lata z przedmiotów teologicznych; drugi skutek tej mądrej reformy jest ten, że gdy dawniej po ukończeniu rosyjskich mógł cały czas i siły użyć wyłącznie dla przedmiotów teologicznych i jakiejś gałęzi nauk świeckich, dziś czas swój musi dzielić i na rosyjskie nauki, musi rozpraszać swe siły na przedmioty państwowe z uszczerbkiem dla duchownych. Czy księdzu rektorowi nie przyszło na myśl, że więcej byłoby pożytku dla kościoła i społeczeństwa, gdyby przyszli kapłani, wolni od urzędowych i urzędniczych lekcyj, poświęcili na polską historyę i literaturę te godziny, których teraz, dzięki jemu, muszą użyć na uczenie się przedmiotów rosyjskich?

Któż tedy winien, że złośliwi ludzie mogą widzieć w ks. Bajce kandydata na przyszłego Siemaszkę łacińskiego, tembardziej, że to osobnik, znany z oporu i z lekceważenia opinii publicznej. Mówi z trójnoga,

jak nieomylna wyrocznia pytyjska i potrafiłby złamać wszelki opór księży.

Ta obawa przed Siemaszką łacińskim pobudziła mię do poddania krytyce polityki biskupiej i wogóle samej zasady ślepego względem władz dyecezyalnych posłuszeństwa.

Mam niezachwiane przekonanie, że nie powinniśmy być trzodą, niewiedzącą, dokąd ją pastuch pędzi. Historya bowiem, doświadczenie nas poucza, że pasterze na manowce i na zgubę pędzili nieraz owieczki swoje. Takie ślepe posłuszeństwo, takie szczere lub obłudne uwielbianie każdego kroku biskupa, aprobowanie wszystkich jego czynów na zasadzie, że jeśli biskup tak zrobił, to musiał tak a nie inaczej zrobić, bo biskup wie co robi, taki, powtarzam, brak krytycyzmu może się stać zabójczym dla dyecezyi, jeślibyśmy doczekali się biskupa à la Siestrzencewicz, Masalski, (XVIII. w.), Siemaszko, Żyliński. Unia nie upadłaby, gdyby jej księża mieli wyrobiony jasny, silny sąd i zasady i według nich oceniali działalność Siemaszki. Księża uniccy rozumowali, jak i większość naszych teraz: „Nie nam krytykować pasterzy, biskupi wiedzą, co robią“. Żyliński nie zrobiłby w dyecezyi naszej takiego spustoszenia, gdyby księża nasi mieli wyrobione przekonanie i kryteryum do mierzenia ludzi i rzeczy.

Kościół nasz musi stać nie na osobie biskupa, lecz na całym klerze naszym, gdzie każdy pojedyńczo i wszyscy razem wzięci jednakowo myśleć, czuć i działać powinni dla dobra kościoła i kraju. Losy dyecezyi

nie powinny zależeć od takiej lub innej osoby biskupiej, szczególniej u nas, gdzie rząd stara się dobrać sobie „błagonadiożnych“ kierowników dyecezyi. Jasną jest rzeczą, że ani rząd, ani przychylny rządowi lub wystraszony biskup czy rządca dyecezyi nic nie zdziała na zgubę kościoła lub ojczyzny, jeśli spotka jednomyślny opór i protest w duchowieństwie. Cokolwiek kiedy rząd zrobił dla osłabienia życia religijnego lub narodowego, zrobił o tyle, o ile pośród księży lub społeczeństwa znalazł posłuszne sobie ślepe narzędzia. Coby to było za szczęście (i radość w Izraelu), gdyby tych narzędzi pośród nas znaleźć nie mógł. Ale są to „pia desideria“. Wrzody każą domyślać się zakażenia krwi, są patalogicznym objawem choroby całego organizmu. Takie wrzody jak Żyliński, Tupalski, Niemeksza, Jusiewicz, Ładnowski, Małyszewicz etc. etc. wskazują patologiczny stan duchowy naszego organizmu duchownego. Nie mogliby oni istnieć, gdyby nie mieli gruntu przygotowanego w postaci ciemnoty umysłowej, nizkości moralnej kleru naszego, i społeczeństwa.

IV.

Politykomania nasza i nasi ugodowcy.

Co to jest polityka? Jak wygląda ona w stosunkach kościelno-religijnych. — Widoki jej powodzenia u nas w stosunku do rządu. — Co się kryje pod mianem dyplomacyi. Co lepsze, walka czy dyplomacya. — Hasła i nadzieje ugodowców. Stuletnia dążność Rosyi do zdławienia narodu. Rozluźnienie pętli i jej zaciśnienie. Źródło ucisku. Nasz program. Głos ks. Felińskiego.

Udane czy rzeczywiste zaprzaństwo narodowe, uległość rządowi nawet w rzeczach religijnych jest to zjawisko u nas powszechne. Nazywamy to dyplomacyą — polityką. Sam wyraz „polityka" jest dla mnie wstrętnym. Czemże bowiem jest polityka, jeśli nie wzajemnem oszukiwaniem się, wyprowadzaniem się w pole, podstępem? Polityka jest zaprzeczeniem etyki chrześcijańskiej. Jeśliby nie codzienne oswojenie się, nicby nie budziło takiej moralnej odrazy, jak polityka mężów stanu i tych wszystkich, którzy się w nią bawią. Zostawmy politykę Bismarkom, ministrom spraw wewnętrznych, a nie wnośmy jej do życia religijnego. „Królestwo Boże nie jest z tego świata", nie powinno więc posiłkować się dyplomacyą tego świata.

Wolę walkę Piusa IX, niż dyplomacyę Leona XIII, który Bismarkowi w swoim czasie udzielił orderu Chrystusa, przez politykę. Pozwolę sobie nawet wyrazić zdziwienie i oburzenie na taką politykę, która podyktowała Watykanowi pominięcie herbu polskiego w kościele Św. Joachima, zbudowanego z ofiar jubileuszowych. Są tam herby wszystkich narodów, państw i pań-

stewek *), niema tylko naszego orła białego, ani pogoni, chociaż hojnie nasz grosz wdowi nieśliśmy na świętopietrze. Dyplomacya wzięła i tu górę nad duchem ewangelii, która przecież nie pozwala zapierać się maluczkich i słabych, chociażby tego pragnęli potężni mocarze świata tego. Ośmielam się poddać krytyce taką dyplomacyę Rzymu, bo przecież papieże w rzeczach dyplomacyi nie są nieomylni. Sądzę, że taka polityka czy dyplomacya strąca kościół z jego wyżyn moralnych do rzędu instytucyi czysto państwowych świeckich. Nasza dyplomacya zawiera się w tych słowach Zbawiciela: „Jam jest prawda“. Te słowa naszego mistrza i wzoru wymagają od nas, abyśmy zrzucili wszelką maskę i stanęli wobec Boga i ludzi takimi, jakimi jesteśmy, śmiało oddając świadectwo prawdzie, nie troszcząc się o zewnętrzne następstwa.

Jeżeli wogóle polityka w stosunkach międzynarodowych budzi moralną odrazę, to cóż mówić o używaniu jej w stosunkach religijnych? Gdyby nawet przynosiła ona pożytek kościołowi, czemu stanowczo przeczę, to i tak bym ją w imię prawdy potępił, na tej prostej zasadzie, że cel nie uświęca środków. Precz z fałszem, precz z obłudą, precz z dyplomacyą! Ale cóż mówić, gdy polityka przynosi szkodę kościołowi i społeczeństwu. W poprzedzających listach, zdaje mi się, wykazałem szkodliwość takiej dyplomacyi biskupa i rektora seminaryum.

*) Nie wyłączając protestanckich i schizmatyckich.

Marzyć u nas o uśpieniu czujności władz rządowych przez politykę lojalizmu i ugodowości, o pozyskaniu przez dyplomacyę obłudną zaufania i ustępstw u rządu, byłoby naiwną dobrodusznością. Jeden z najprzebieglejszych rządów świata nie da się przedyplomatyzować. Podobno biskup Hołowiński zdołał przedyplomatyzować Mikołaja I. Gdy ten zaproponował przeniesienie akademii duchownej z Warszawy do Petersburga, arcybiskup oparł się temu, a za argument użył obawy, by młódź polska nie zaraziła patryotyzmem polskim duchowieństwa, przeznaczonego dla Litwy i Rusi. Argument przekonał Mikołaja. Ale czasy się zmieniły. Dziś już taki nawet Hołowiński nicby nie wydyplomatyzował, a cóż mówić o tych jego następcach i spółbraciach, którzy doń nie dorośli ani rozumem, ani stosunkami, ani względami u samego cara.

Udane wyrzeczenie się ideałów narodowych prowadzi do rzeczywistego zaprzaństwa narodowego. Oko, zawiązane przez dłuższy czas i bezczynne, przestaje widzieć. Władze duchowe i idee, tak jak i organa cielesne zanikają, gdy ich nie wprowadzamy w czyn. Rząd niczego nie pragnie, jak tylko byśmy nie czynili dla narodu nic takiego, co pachnie patryotyzmem i przeciwdziałaniem rusyfikacyi. Czuć i myśleć pozwala nam najswobodniej, byle byśmy tych uczuć i myśli nie wcielali w życie. A nasi dyplomaci właśnie nic nie czynią, chociaż wielu powiada, że czują i myślą patryotycznie. Nic to rządowi nie szkodzi, a i nam nie zaszkodzi, owszem wyjdzie na pożytek, bo nie zamąci

spokoju, nie zepsuje apetytu, nie spędzi snu z powiek, ustrzeże od klasztoru i wygnania.

Przyznajmy się szczerze, położywszy rękę na sercu, że w tej naszej ugodowości, zwanej dyplomacyą, nie tyle chodzi o dobro kościoła, ile o bezpieczeństwo własnej skóry. Tchórzostwo, niedołęstwo, sybarytyzm nazywany dyplomacyą, ostrożnością, roztropnością itp. Klasztor, wygnanie jest przecie osobistem nieszczęściem, z którego dla kościoła i kraju może wyniknąć pożytek.

Taki Hryniewicki został wygnany, ale on przez półtora roku zdziałał więcej, niż inni przez dziesiątki lat: przeprowadził moralną dezynfekcyę w duchowieństwie, zaelektryzował masy, wzbudził życie religijne i stał się bohaterem, czczonym przez naród. Chłopi nasi nie znają nazwisk innych biskupów prócz Hryniewickiego. Nie! wygnanie biskupów i księży to nowe zwycięstwo kościoła. Nam serce rośnie z radości, gdy biskup lub kapłan wędruje na wschód pod eskortą żandarmów; znak to, że u nas są jeszcze apostoły wiary i ojczyzny, że są pasterze, co „duszę swą kładą za owce swoje". Nie to przerażać nas powinno, że Moskale mogą nas zesłać w Sybiru śniegi, lecz to, że niema kogo, bo niema za co wysyłać. Ofiary dla wiary i kraju nie są straszne: ofiarą świat zbawiony i ofiarą tylko każda wielka dusza zatryumfować może. Chrześcianie przez trzy stulecia składali na ofiarę setki tysięcy swych męczenników i tem zwyciężyli, „Sanguis martyrum est semen christianorum". Irlandczycy przez kilka wieków broczyli we krwi i we łzach własnych,

a czyż w równouprawnieniu ich politycznem i religijnem nie widzimy teraz owocu owych ofiar?

Nie knut moskiewski, nie katorga straszna dla kościoła i społeczeństwa naszego, lecz nasze własne niedołęstwo, charłactwo, kretynizm duchowy i zgnilizna wewnętrzna, przywdziewająca na się maskę dyplomacyi, trzeźwości, ostrożności.

Wszyscy o tem wiemy, że w społeczeństwie naszem jest stronnictwo tak zwane ugodowe. Abdykuje ono z niezależności politycznej, decyduje się iść z Rosyą ręka w rękę w jedności państwowej, zastrzegając sobie nietykalność wiary, języka i kultury. A kiedy im wskaże się, jak Rosya traktuje naszą wiarę i język, radzą cierpliwość i twierdzą najmocniej, że Rosya kiedyś uszanuje nas, jako naród, i da nam możność swobodnego rozwoju. W duchowieństwie naszem ten prąd ugodowy jeszcze żywszy i silniejszy. Nie jestem ci ja prorokiem i nie wiem, co będzie w przyszłości, wiem tylko, co było i co jest. Widzę, że przez sto lat przeszło nie widzimy zwrotu w kierunku humanitaryzmu. Owszem, widzimy, że rząd coraz bezwzględniej dąży do zagłady naszej narodowości i nie zwiastuje zwrotu ku lepszemu.

Katarzyna II wysyłając na Litwę pierwszych generał-gubernatorów Czernyszowa i Kreczetnikowa, dała im taką instrukcyę, w której streszcza się program polityki rosyjskiej wobec nas: „Demoraliser, depopulariser et decatholiser“ (zadaniem waszem jest demoralizować, wynaradawiać i odciągać od katolicyzmu). Mi-

kołaj I. był nieodrodnym potomkiem północnej Semiramidy.

W tomie XXIV rocznika 1878 r. wydawnictwa „Russkaja Starina“, w artykule: „Zapiski Zyrkiewicza“ czytamy „...po rozmowie ze mną zwrócił się cesarz do p. Gonorałopa (gubernatora białostockiego) ze słowy: „Nie potrzebuję cię uczyć, jak masz postępować z Polakami. Żywym tego przykładem będzie książe Dołgorukow. Miej na rękach żelazne rękawice“. Wierny swej wiekowej tradycyi rząd rosyjski z nieubłaganą logiką dąży do zdławienia narodowości polskiej i dławi ją ręką, opatrzoną w żelazną rękawicę. Tradycya ta polakożercza przeszła w krew i kości wszystkich carów i ich ministrów.

Na czem ugodowcy opierają swe nadzieje, to już ich tajemnica. Kiedy Mikołaj drugi rzucił kilka ochłapów łaski carskiej, jak zniesienie kontrybucyi za rok 63, zniesienie modlitwy rosyjskiej w szkołach przed i po nauce, uwolnienie od cerkwi w galówki, większa swoboda w budowaniu kościołów, pozwolenie na wzniesienie pomnika Mickiewicza w Warszawie; ugodowcy widzieli w tem już zwrot polityki rosyjskiej względem kresów, urządzili przyjęcie Mikołajowi w Warszawie i złożyli serca narodu przez usta Wielopolskiego u stóp cara. Ale od czasu bytności Mikołaja w Warszawie łaski ustały, owszem, szeregiem rozporządzeń i czynów nowych rząd starał się powetować sobie poczynione nieopatrznie ustępstwa. Język polski usunięto z tych prywatnych instytucyi, gdzie przetrwał dotychczas, np.

w Towarzystwie kredytowem w Warszawie; nad szkołami prywatnemi w Królestwie rozciągnięto jeszcze czujniejszą kontrolę; przetrząśnięto ogródki freblowskie (szkoły poglądowe dla małych dzieci) i ostro zakazano tam uczyć dzieci starszych nad lat siedm; w Wilnie wzniesiono pomnik dla Murawiewa i z nadzwyczajną pompą go odsłonięto; Imeretyński i w ślad za nim Trockij w najpoddańszych memoryałach wystąpili z szeregiem projektów ku zrusyfikowaniu kraju; asygnowano jeszcze większe sumy na budowę cerkwi, pomimo że i te, co są, pustkami stoją; zwiększono sumy na poparcie szkółek cerkiewnych; 60.000 rs. przeznaczono na zwiększenie policyi i żandarmeryi w Królestwie itp. Ugodowcy nasi spuścili nosy, a nasz *Kraj* (bodaj słusznie nazywany przez wielu organem rządowym, wydawanym w języku polskim) stracił trochę kredytu w naszem dobrodusznem społeczeństwie, stracił podstawę do bałamucenia opinii publicznej i musiał ratować się wprowadzeniem ilustracyi dla przynęty prenumeratorów.

Chwilowo rząd rozluźnił pętlę na szyi narodu, by ją potem tem mocniej zacisnąć. Nie pierwsze to i nie ostatnie rozluźnianie pętli. Dziś już nawet gdyby car który, powodowany większem poczuciem sprawiedliwości, zechciał wziąć w opiekę naród pokrzywdzony, nie mógłby tego uczynić dla tej przyczyny, że samowładztwo carów rosyjskich jest obecnie bajką, w którą tylko dzieci wierzą. Potężna klasa urzędnicza ujęła ster państwa w swe ręce i kieruje niem, bacząc li tylko na

interes własny. Klasa ta panuje nad narodami ujarzmionymi, tamuje rozwój narodu własnego, kieruje carem i posługuje się nim, jako narzędziem dla interesów kastowych. Czy można dziś myśleć, aby ta biurokracya rosyjska zmieniła system polityczny, który daje im takie Eldorado w Królestwie i na Litwie?

Są u nas jeszcze ludzie naiwni, co przypisują taki stan rzeczy powstaniu 31 i 63 roku. Zapytam ich, dlaczego system rusyfikacyjny zaczęto stosować w prowincyach nadbaltyckich, skąd miał rząd najgorliwszych satrapów i wykonawców swej woli? Niemcy nie robili powstania, mogą służyć za wzór lojalności. Dlaczego od paru lat ostatnich rząd zaczyna gwałcić, zmieniać konstytucyę Finlandczyków, którą nawet despotyczny Mikołaj I uszanował? Dlaczego? Przecie Finlandya nie myślała o powstaniu.

Dla mnie jest rzeczą jasną, że nie powstania wywołały ucisk, lecz ten duch azyatycko-despotyczny, ten szowinizm i biurokratyzm rosyjski, który nie znosi swobody, nie cierpi tego, co nie rosyjskie i nie prawosławne. Bezwątpienia rok 31 i 63 posłużył za znakomity pretekst do dławienia narodu; zamiast posuwać się o jeden krok, oni w ciągu roku posunęli się odrazu o sto, stało się trochę pierwej to, co musiałoby się stać trochę później, ale to postaci rzeczy wcale nie zmienia. Rząd chce wziąć duszę narodu, bo ciało już zabrał *) chce i do tego dąży z bezwzględnością,

---

*) Rzecz tę wyjaśnia broszura: »Fikcye ugodowe«.

w żadnem z państw spółczesnych i dawniejszych nie widzianą.

Jakież wobec tego ma być nasze względem rządu stanowisko? Streszczę je w tych słowach. Nie możemy nigdy zaufać rządowi, bo trzeba być chyba bezgranicznie naiwnym, żeby choć na chwilę przypuścić, że rząd ten, nie swoje lecz nasze interesa ma na widoku. Zdać się na łaskę i niełaskę rządu — jest to stać się ślepem narzędziem obcej dla nas polityki, a na to zgodzić się nie możemy pod karą samobójstwa narodowego. Wszelkie ustępstwa rządu należy uważać nie jako wynik jakiegoś zwrotu, wywołanego poczuciem sprawiedliwości, lecz jako skutek sytuacyi politycznej w Europie lub środek do kupienia duszy narodu. Nas zaspokoić może albo zupełna niepodległość, lub do czasu rozległa autonomia, gdyż wówczas tylko przestaniemy być strawą dla zasilania organizmu rosyjskiego.

Posłuchajmy, co mówi biskup Feliński w swych Pamiętnikach na wygnaniu: „Prawa narodów do niepodległego bytu są tak święte i niewątpliwe, a wrodzona miłość ojczyzny tak głęboko wyryła je w sercu każdego prawego obywatela, iż żadne sofistyczne rozumowania nie są w stanie wygluzować ich w masie narodu. Skażone lub obałamucone jednostki mogą wprawdzie zrzec się tych praw dobrowolnie, łudząc zaborców, że to czynią w imieniu całego narodu, głosy wszakże takie nie odbiją się nigdy żywem echem w sercu ludu; brzmieć owszem będą zawsze jak fał-

szywa i wstrętna nuta. Ci saś, co ją głoszą, pozostaną zawsze w sumieniu narodu podłymi zdrajcami. Wszyscy prawi polacy, nietylko chcą być wolni i niezależni we własnym kraju, ale wszyscy są przekonani, że mają do tego niezaprzeczone prawo i nie wątpią, że pierwej czy później u celu swych pragnień staną i będą znowu samoistnym narodem. Kto nie żąda niepodległości lub o możności odzyskania jej zwątpił, ten nie jest polskim patryotą, tego ta umęczona i bolejąca, ale pełna życia matka nie zna już za swego syna". (Pamiętniki, wydanie krakowskie 1897 na str. 99).

Niestety! wielu, wielu z nas ta bolejąca matka nie zna już za syny swoje!

V.

Kwestya litewska.

Skutki usunięcia języka litewskiego z kościołów litewskich. — Zbiałoruszczenie się Litwy przez kościół. — Delegacya litewska do biskupów. — Zwlekanie z zadosyćuczynieniem prośbie Litwinów. — Argumentacya litwinofobów i jej obalenie. — Najniedorzeczniejsze potwarze, rzucane na Litwinów przez obóz antylitewski. — Kto wywołuje separatyzm litewski i komu on wyjdzie na dobre. — Która strona paktuje z rządem.

Nie mogę powiedzieć od jakiego to czasu, ale zapewne od bardzo dawna, władze dyecezyalne przy obsadzaniu probostw litewskich nie brały w rachubę języka litewskiego: księży Litwinów naznaczano do parafij białoruskich, a nie umiejących po litewsku — do litewskich. Skutki takiej administracyi były opłakane. Litwini nie rozumieli kazań, wygłaszanych w obcym dla się języku, najokropniej kaleczyli pacierz, który odmawiali, nie rozumiejąc go wcale. Stąd straszna ciemnota pod względem religijnym. Pod względem zaś narodowym ulegli Litwini podobnemu losowi, jak Polacy na Ślązku: Litwę, jak i Ślązk, wynarodowiono przez kościół; Ślązk zniemczono, — Litwę zbiałoruszczono, tak, zbiałoruszczono a nie spolonizowano.

Dziwnem i niezrozumiałem może się wydać, jak polskie kazania mogły przyczynić się do zruszczenia Litwy; a jednak tak jest, w kilku słowach postaram się tego dowieść.

Litwini widzieli, że językiem ich wzgardzono w kościele; powoli sami zaczęli swej mowy się wstydzić. To język pogański, brzydki, mówili księża — i Litwini,

z natury oddani duchowieństwu, sami zaczęli w to wierzyć. Nie mogli jednak, z wyjątkiem okolic podmiejskich, przyswoić sobie języka polskiego, bo w potocznej mowie go nie spotykali, a ambona nie wystarczała do wyuczenia się po polsku. Rzecz naturalna, że w takich warunkach chwycili się języka, który jest podobnym do polskiego, a którym mówi sąsiadujący lud białoruski. Najprzód więc kresowi Litwini zaczynają przejmować język swych sąsiadów, jako zbliżony więcej do polskiego, kościelnego, i łatwiejszy do zdobycia, bo praktykowany przez masy w mowie potocznej. Tak się zaczęło białoruszczenie Litwy najprzód na kresach, następnie fala białoruska powoli zalewała ziemie litewskie, coraz bardziej zacieśniając ich granice etnograficzne na korzyść Białej Rusi. I widzimy teraz, że w gub. grodzieńskiej nie słychać już mowy litewskiej. Nowogródek, niegdyś stolica Litwy — dziś tam ani śladu litewszczyzny. Powiat lidzki, niegdyś czysto litewski, dziś jest nim tylko w części, wileński, trocki, święciański, ulegają temuż samemu losowi. Na ogromnych obszarach gubernii grodzieńskiej i w części wileńskiej, brzmi dziś mowa białoruska i tylko nazwy wiosek i rzek wskazują, że mieszka tam wynarodowiony lud litewski. Dziś własnemi oczami patrzymy na ten proces białoruszczenia: starcy w niektórych wioskach mówią jeszcze po litewsku, ich dzieci już tylko po białorusku, a wnuki już nie rozumieją i drwią z języka swych dziadów i pradziadów.

Duchowieństwo nie widziało, czy nie chciało wi-

dzieć tego procesu wynarodowienia Litwy, a mogło przeszkodzić mu bardzo łatwo przez uszanowanie języka litewskiego, przez wprowadzenie go w dodatkowem nabożeństwie, przez szerzenie nauki chrześciańskiej w języku narodowym, przez kazania litewskie. Litwini, widząc, że język ich godzien świątyń i ołtarzy, godzien rozmowy z Bogiem na modlitwie, godzien pieśni i hymnów świętych, nie porzuciliby swej mowy na korzyść białoruskiej.

Tak więc duchowieństwo, a raczej władze dyecezyalne nie zdołały spolonizować, lecz przyczyniły się do zbiałoruszczenia Litwy, przyczyniły się może nieświadomie, mimowolnie, ale przyczyniły się i tym sposobem pośrednio przygotowały grunt do rusyfikacyi. Któż tego nie widzi, że *obrusienije* Białorusinów idzie łatwiej i prędzej, niż *objedinienije* Litwinów. Na biskupach więc ciąży zarzut krótkowidztwa politycznego i ospałości religijnej. Oni to byli nieświadomymi wprawdzie, ale byli sprzymierzeńcami rządu rosyjskiego, który wypiera język litewski ze szkoły, tamuje rozwój jego przez zakaz książek i pism litewskich, podobnie jak biskupi wypierali go z kościoła i przez to przeszkadzali jego rozwojowi.

Dopiero ostatnimi czasy księża-patryoci litewscy, tak w interesie religijnym jak i narodowym, zaczęli przemycać język litewski w dodatkowem nabożeństwie, w tym języku głosić nauki i wieść rozmowę z ludem. Zwrot ten powstał pośród księży. Biskupi zaś nie tylko mu nie sprzyjają, lecz przeszkadzają, już to potępia-

jąc i karcąc księży Litwinów, już to naznaczając ich do parafij białoruskich, a nie znających języka litewskiego — do litewskich.

Za rządów biskupa Zdanowicza wybrała się w Wilnie delegacya do kierownika dyecezyi z prośbą o zaprowadzenie w jednym, chociażby najmniejszym kościołku wileńskim kazań i dodatkowego nabożeństwa w języku litewskim. Biskup odesłał deputacyę do generał-gubernatora, a sam pospieszył do satrapy, aby go nieprzychylnie względem mającej przyjść delegacyi usposobić. Orżewski jednak przyjął Litwinów z lisią grzecznością, odesłał ich dla omówienia kwestyi do swego sekretarza Sudiejkina. Chodziło generał-gubernatorowi o zbadanie, czy się nie da użyć prądu litewskiego do walki z polonizmem. Ze słów Sudiejkina widocznem było, że rząd poprze Litwinów, byle tylko oni zerwali z polskością i domagali się języka litewskiego nie w jednym, ale we wszystkich kościołach wileńskich. Delegacya litewska nie chciała stanąć ręka w rękę z rządem do walki z polskością. Wywąchał to Sudiejkin, i gdy Litwini przyszli do Orżewskiego powtórnie, ten ich przyjął już bez lisiej maski: „Panowie zaprzątacie rząd kwestyami nierozwiązalnemi, panowie macie zbyt dużo czasu wolnego“ wrzeszczał rozgniewany kacyk moskiewski. A gdy jeden z Litwinów zrobił uwagę, że „Jego Wysokoprewoschoditielstwo“ odbiega od przedmiotu, gdyż oni przyszli mówić nie o kwestyi litewskiej, lecz zapytać, czy nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli biskup pozwoli na użycie ję-

zyka litewskiego w dodatkowem nabożeństwie w jednym z kościołów wileńskich, satrapa wrzasnął: „Panowie zapominacie, że mogę was kazać powiązać“. Litwini, jak na komendę, nic nie mówiąc, bez ukłonu nawet okręcili się i wyszli.

Po objęciu katedry biskupiej przez Zwierowicza, Litwini udali się do niego z tąż samą prośbą. Przedłożyli takie racye: że dużo służących w mieście i dużo żołnierzy, ze Żmudzi zwłaszcza, nie rozumie języka polskiego, że kilka Litwinek umarło w szpitalu bez spowiedzi, ponieważ nie znaleziono dla nich księdza-Litwina, a po polsku chore nie umiały; że daleko mniej liczna kolonia niemiecka ma kościołek św. Anny z kazaniami niemieckiemi; że wprowadzenie kazań litewskich nie będzie żadnem nowatorstwem, gdyż język litewski aprobowany w rytuale i jeszcze przed 50-ciu laty były w Wilnie w jednym z kościołów dodatkowe nabożeństwa w tym języku; że w interesie religijnym wiernych jest, aby był kościołek litewski, do któregoby Litwini mogli się zwracać we wszystkich potrzebach jak np. spowiedź, wezwanie do chorego, żeby Litwini nie byli zmuszeni chodzić od kościoła do kościoła, aż natrafią nareszcie na księdza, umiejącego po litewsku, od którego łaski jeszcze zależy, spowiadać lub nie spowiadać, iść lub nie iść do chorego, nie należącego do jego parafii; że, nareszcie, każdemu jest drogim język wyssany z piersi matki i że w tym języku przywykł on od dzieciństwa słyszeć słowo Boże i rozmawiać z Bogiem w modlitwie.

Biskup Zwierowicz obalać powyższych racyj nie próbował; owszem powiedział, że sam o tem myśli i prosił Litwinów, żeby zostawili tę kwestyę jemu i czasowi. Litwini czekali cierpliwie. Po upływie roku prośbę swą ponowili. Biskup znowu odprawił posłów z nadzieją i prośbą o cierpliwość, zaznaczył tylko, że nie wierzy, aby dużo było Litwinów, pragnących tego, co wyraża delegacya, że ci służący, stróże, są zadowoleni i nie myślą o zmianie. Zjawia się do biskupa czterech Litwinów z niższych warstw ludności, lecz kapelan czy sekretarz biskupi nie puścił prostaczków przed oblicze Ekscelencyi (co, nawiasem mówiąc, nie przeszkadza ks. Zwierowiczowi często powtarzać: „do mnie i maluczcy łatwy mają przystęp"). Po długiem, bezowocnem oczekiwaniu, Litwini przyszli do przekonania, że biskup zwlekaniem chce ich znużyć i zniechęcić do dalszych starań; zapowiedzieli więc, że podadzą prośbę na piśmie, chociaż przykro im popychać sprawę na drogę oficyalną, woleliby załatwić ją drogą prywatną, więcej odpowiadającą stosunkowi dzieci do ojca i pasterza do swych owieczek. Podali prośbę w języku litewskim. Sekretarz biskupa Bohuszewicz powiedział Litwinom, że prośba nie może być uwzględnioną, gdyż pisana jest w języku nieurzędowym, w dodatku — niezrozumiałym, a oni nie są obowiązani szukać tłumacza. Na takie *dictum*, godne czynownika moskiewskiego i formalisty kancelaryjnego, Litwini powiedzieli: „Bardzo to smutno, że pasterz nie rozumie i nie chce rozumieć mowy swych owieczek". Zaraz

jednakże podali prośbę w języku urzędowym. Dotychczas jest prośba bez skutku, chociaż zaopatrzona w tysiąc przeszło podpisów.

Być zresztą może, że biskup osobiście nie jest pozbawiony dobrej woli, najprawdopodobniej wrogo, lub co najmniej podejrzliwie usposabia go względem Litwinów otoczenie i doradcy duchowni, ci sami, co namówili go iść na ucztę Murawjewowską. Miałem możność poznać sposób zapatrywania się ich na sprawę kościołka litewskiego. Litwinom chodzi o cele narodowe a nie religijne, zaś kościoła chcą użyć jako środka, wiodącego do tego celu. Koryfeusze ruchu litewskiego są to ludzie, znani z indyferentyzmu religijnego, zaniedbujący praktyki religijne, skąd się raptem wzięła u nich troska o dobro religijne biednych współbraci. Dążność ich równa się separatyzmowi, scysyi w kościele. Wszyscy zresztą mieszkańcy Wilna rozumieją po polsku. Tak mniej więcej argumentują duchowni i świeccy przeciwnicy Litwinów.

Poprobuję tu kolejno zbadać moc tych argumentów, Przedewszystkiem zapytam: jakie mamy prawo posądzić Litwinów o cele inne, niż te, które w swej prośbie wyłuszczają? A jeśli nawet obok celów religijnych są narodowe, to cóż to kościołowi szkodzić może. Jeżeli nie jest przeznaczeniem kościoła popierać ruch narodowy, to nie jest też jego obowiązkiem, ani nawet prawem, ruchowi temu przeszkadzać. Charakter osób, stojących na czele kolonii litewskiej, nie bierze się pod uwagę i na sposób postępowania biskupa wpływać nie

powinien. Nie patrzymy, kto prosi, ale o co prosi i czy prośba jego jest słuszną. Choćby człowiek bardzo występny lub wrogo względem katolicyzmu usposobiony prosił o rzecz, która mu się według praw Boskich i ludzkich należy, biskup nie może, nie ma prawa odmówić, a cóż dopiero, kiedy ani nizkości moralnej, ani przekonań antykatolickich delegatom litewskim zarzucić nie można. Na jakiej zasadzie posądzają ich księża o przekonania antyreligijne, to już dla mnie tajemnica. Być może, na wzór rządu mają swoją tajną policyę, która informuje o prawomyślności religijnej, tak jak szpiegowie rosyjscy o *błagonadiożnosti* politycznej. Zarzucacie separatyzm — zapytam: czy wytworzył się separatyzm religijny na prowincyi, gdzie dodatkowe nabożeństwo odbywa się po litewsku? A zanim powiecie, że wszyscy rozumieją po polsku, wprzód zarządźcie ankietę pośród służących, stróżów, żołnierzy; a skoro tej ankiety nie zrobiliście, jakie macie prawo nie przywiązywać wagi do położonych na prośbie podpisów?

Jest rzeczą o wiele pewniejszą, owszem, zupełnie pewną, że wszyscy katoliccy mieszkańcy Wilna rozumieją po rosyjsku. Gdyby kiedyś rząd wymagał, aby dodatkowe nabożeństwo i kazania wygłaszano po rosyjsku, na zasadzie, że wszyscy rozumieją po rosyjsku, władza dyecezyalna nie mogłaby protestować pod karą niekonsekwencyi; rząd bowiem powołałby się na tę samą zasadę, którą biskup stosuje względem Litwinów.

W walce z Litwinami nadużywali księża konfesyonału, uzbroili całą armię dewotek gadatliwych, ruchliwych, ślepo oddanych swym ojcom duchownym, roznoszących najniedorzeczniejsze plotki, potwarze, insynuacye, podburzających tłumy mieszczańskie przeciwko tak zwanym litwomanom. Nic gorszego, jak wciągnąć do walki ulice, zagrać na namiętnostkach, przesądach, uprzedzeniach motłochu. Zaczynają krążyć najpotworniejsze wieści, niezgodne poprostu ze zdrowym rozsądkiem, przyjmowane jednak z wiarą nawet przez oświeceńsze warstwy, gdy są zacietrzewione namiętnością i uprzedzeniem. Oto próbka takich wersyj. Litwomani urządzają rajskie wieczory, najbezwstydniejsze orgie. Przy zbieraniu podpisów na prośbie posługiwali się podstępem, przywdziewając uniformy i ordery urzędnicze w celu zaimponowania i zastraszenia pospólstwa litewskiego dla łatwiejszego wyłudzania podpisów *). Takie potworne baśnie podają sobie z ust do ust, nawzajem się podżegając przeciw Litwinom **). Doszło już do tego, że jakaś pobożna istota, dowiedziawszy się, że na ulicy znaleziono po nocy trupa, „to litwomanów robota“, zawołała. Maluczko, a dewotki wileńskie będą wyobrażały sobie Litwinów, jako istoty za-

*) Litwomani są to socyaliści; kościół im potrzebny do drukowania i chowania broszur socyalistycznych.

**) Trzeba przypuścić, że baśnie te nie zostały bez wpływu na biskupa, tem się tłomaczy jego ociąganie się z zaspokojeniem pragnień litewskich.

opatrzone w dyable rogi i ogony. Wielki to zaszczyt dla litwomanów, że ich przeciwnicy posiłkują się orężem potwarzy, czernidła i podżegania motłochu i t. d.; widocznie na inny zdobyć się nie mogą.

Najboleśniejszą jednak krzywdę wyrządzają Litwinom, zarzucając im sojusz z rządem przeciwko Polakom i wogóle polskości. W pewnem towarzystwie pani domu zwróciła się do gościa Litwina z temi słowy: „Niech się cieszą Litwini, bo oto stanie w Wilnie pomnik Katarzyny, która właśnie wyzwoliła naród litewski z pod jarzma polskiego“. Litwin odpowiedział: „Jeżeli kto, to Murawjew zadał cios straszny polskości na Litwie, jednak nie było Litwinów u pomnika Murawjewa. Biskup Zwierowicz i hrabia Plater, uczestniczący w uczcie Murawjewowskiej, nie są Litwinami“. Na wiosnę roku 1899 ukazała się broszura, wymierzona przeciwko duchowieństwu katolickiemu w Wilnie, doradzająca napis na Ostrej Bramie w języku rosyjskim i litewskim, zamiast obecnego łacińskiego i t. p. Księża nie omieszkali przypisać jej Litwinom i duch broszury wziąć za program Litwinów. Koryfeusze ruchu litewskiego nie wiedzą nawet, kto jest autorem tej broszury i twierdzą: „Mogła ona wyjść tylko z pod pióra wrogów naszych, chcących nas zohydzić w oczach opinii publicznej, albo z pod pióra głupca, z którym nie możemy mieć żadnej solidarności. Kościół miał niegodnych synów, a nawet papieży, społeczeństwa mają wyrzutków, armie miewały zdrajców, a wszelkie sto-

warzyszenia — infamisów. Nikt jednak nie śmie dzieła wyrodnej lub ogłupionej jednostki zwalać na cały kościół, na całe społeczeństwo, na całą armię, na całe stowarzyszenie. Dlaczegoż względem Litwinów używają innej logiki? Nie! nie my, nie Litwini, zawieramy sojusz z rządem! Gdzie, kiedy myśmy spiskowali z rządem przeciw Polakom, jak Zdanowicz z Orżewskim przeciwko nam? Nie myśmy chcieli języka urzędowego użyć w prośbie, pisanęj do biskupa, w tej, że tak powiem, domowej sprawie naszej. Nam Orżewski zagroził więzami, tak nie postępuje się ze sprzymierzeńcami". Tak mówią Litwini i nie można nie przyznać im racyi.

Taktyka przeciwników Litwinów może rzeczywiście doprowadzić do separatyzmu litewskiego: doznając bowiem od nas ucisku niemniej niż od Moskali, widząc w nas wrogów wszystkiego, co litewskie, mogą krzyknąć w rozgoryczeniu: „Jeśli nie mamy zostać Litwinami, to wszystko nam jedno, czy będziemy Polakami, czy Rosyanami. W granicach możności Polacy gnębią nas niemniej, niż Rosyanie — precz więc tak samo z Lachami, jak z Moskalami!" Do takiego okrzyku rozpaczy może doprowadzić ich ten skrajny, litwinożerczy duch, panujący u nas dosyć często. Wyśmiewani, pokrzywdzeni w swych uczuciach i prawach narodowych, może by już dawno rzucili się w rozpostarte ramiona rządu, gdyby nie wrodzona ich ludowi cierpliwość, rozwaga i wstręt do paktowania z na-

jeźdzcami przeciwko współbraciom we wspólnej wierze, wspólnej niedoli.

Taka rozterka pomiędzy dwoma narodami uciemiężonymi może wyjść tylko na pożytek ciemięzcy, który łatwiej da sobie radę z każdym narodem pojedyńczo, niż z obu naraz, miłością złączonymi.

VI.

Nieuwzględnianie uzdolnień księży przy wyznaczaniu im rodzaju pracy. Pozycya młodych wikaryuszów.

Obskuranci w Wilnie. — Kaznodziejstwo w Wilnie.—Sybaryta w Grodnie. — Rządowcy w miastach powiatowych i wpływ ich na prowincyę. — Dobieranie księży najciemniejszych do parafij, mających liczniejszą inteligencyę. — Naznaczanie profesorów do seminaryum. — Pozycya młodych wikaryuszów. — Obcinanie skrzydeł i marnowanie pierwszych zapałów religijnych sił młodzieńczych.

Przy obsadzaniu dekanatów, parafij, katedr profesorskich w seminaryum, biskupi nie biorą pod uwagę stopnia rozwoju umysłowego i uzdolnień indywidualnych księży. Weźmiemy najsamprzód Wilno. W tem ognisku naszego życia religijnego i umysłowego mamy przeważnie księży obskurantów, kompromitujących poprostu stan duchowny. Tu, gdzie często roztrząsają się kwestye filozoficznej, społecznej lub naukowej natury, księża nasi albo milczą, albo wybuchają świętym gniewem, albo z trójnoga rozstrzygają rzeczy, poprzestając na zacytowaniu określeń soboru i nieomylnej powagi kościoła. Najczęściej jednak unikają ludzi, lubiących rozprawy i dysputy poważne, bo się ich lękają. Natomiast wybierają sobie domy arystokratyczne, gdzie rozmowa, ujęta w ramki konwencyonalizmu salonowego, wyklucza wszelkie poważniejsze dyskusye, wszelki zapał szczery, bo na to nie pozwala dobre wychowanie. Inni znowu uczęszczają przeważnie do domów pobożnych dewotek. Uwielbiani przez pobożne duszyczki, nie potrzebują umysłowego wysiłku, tam im

najbezpieczniej i najprzyjemniej. Jeszcze inni zasklepiają się li tylko w swej kaście duchownej. Z braćmi świeckimi nic ich nie łączy, chyba karty czasami. Wogóle księża smakują przeważnie w takiej atmosferze towarzyskiej, która nie wymaga głębszego wykształcenia i oczytania, gdzie panuje banalność, płytkość, czczość umysłowa. Najbardziej inteligentna warstwa ludności, jak prawnicy, lekarze, urzędnicy bankowi — nie oglądają pośród siebie księży. Najruchliwsza, czynna, budząca się do życia umysłowego i społecznego klasa rzemieślnicza też nie ogląda księży w swych domach. Tacy księża, co mogliby w tych sferach oświeceńszych, lub pragnących i garnących się do światła, rozwinąć zbawienną pracę i wpływ prawdziwie chrześciańsko-narodowy, tacy, powiadam, księża siedzą w zapadłych kątach, gdzie odpowiedniego dla swej organizacyi duchowej pola pracy nie mają, a gdzie z równym a może większym pożytkiem mógłby pracować kapłan, najniestosowniej umieszczony w mieście, gdy lud wiejski jest jego najodpowiedniejszym żywiołem. W Wilnie, z wyjątkiem paru kaznodziei, reszta księży jest pozbawiona najzupełniej zdolności i erudycyi kaznodziejskiej. Weźmy np. kościół św. Jana, przeważnie uczęszczany przez inteligencyę i zawsze prawie po brzegi zapełniony, toć tam na ambonie kazania są odczytywane, w dodatku licho odczytywane, na utrapienie i tortury wiernych, którzy wracają do domu z duszą absolutnie głodną słowa Bożego. Wogóle kazania u nas zeszły do rzędu jakiejś formalności suchej, martwej, jakiegoś do-

datku obrzędowego. Ten najpotężniejszy środek oświecania i umoralniania, to słowo Boże, którem Chrystus Pan, a następnie Apostołowie nawrócili świat, pozostaje w zupełnem zaniedbaniu.

W Grodnie, na tej tak ważnej placówce, ze wszech stron obleganej przez prawosławie i rusyfikacyę, dziekanem jest ksiądz, rozpieszczony wygodniś, skończony sybaryta, którego całą zaletą jest umiejętność podobania się przedstawicielom rządu.

We wszystkich prawie miastach powiatowych dyecezyi naszej siedzą dziekani, albo zdecydowani i jawni rządowcy (Jusiewicz, Sajkowski), albo nieświadome narzędzia rządu, Rosyanie katolickiego wyznania (Sienkiewicz, Karwowski, Szymkiewicz, Diakiewicz). W tych ogniskach powiatowych ludność nie zaczerpnie w kościele nic dla umysłu, nic dla serca. Kościoły brudne, kazania niżej krytyki; chóru, tego potężnego środka, pociągającego ludzi do kościoła i podnoszącego ich duchowo, nie ma; organy wołające o pomstę do Boga, służba kościelna, celująca w pijaństwie i rozpuście, a księża — renegaci lub sybaryci kopigrosze.

A tuż prawie obok cerkiew wspaniała, czysto, porządnie utrzymana, z pięknym śpiewem chóralnym, z przykładnym i wymownym popem. Już to trzeba przyznać, że prawosławni biskupi więcej niż nasi myślą o obsadzaniu ważniejszych posterunków przez siły lepsze i zdolniejsze.

Na prowincyi, gdzie tylko więcej inteligencyi, naj-

częściej można spotkać księdza, nie umiejącego nawet mówić znośnie po polsku. Przy nizkim poziomie umysłowym nie mają prawie żadnej łączności z dworami. Świętem oburzeniem przejęci, rzucają gromy na bezbożnych obywateli, co nie umieją szanować sług Bożych. W takiej parafii, obfitującej w inteligencyę, zdolny, wykształceńszy ksiądz potrafiłby tych bezbożnych do kościoła pociągnąć i stworzyć z nich zastęp inteligentnych współpracowników na niwie religijno-społecznej. Ksiądz, pełen rozumu, ożywiony podniosłą ideą, mógłby zużytkować dla społeczeństwa te rozproszone, nieprodukcyjnie marnujące się siły inteligentne.

Śród inteligencyi wiejskiej, tak powszechnie potępianej przez ciasnogłowych księży, znajdziemy dużo dobrej woli, pięknych, szerokich pragnień, zwłaszcza śród młodszego pokolenia obojej płci. Trzeba tylko inicyatora i kierownika, a dla kogoż rola taka jest odpowiedniejsza, jak dla księdza. Naturalnie, nie dla półpiśmiennego księdza i nie dla tych, którzy oświatę ludu, szerzenie pism i książek ludowych uważają za rzecz, nie wchodzącą w zakres obowiązków kapłańskich, którzy do dzieła oświaty, do pracy *pro publico bono* nie umieją natchnąć młodych sił inteligentnych. Rzecz to już biskupa przynajmniej takich księży wynaleźć i na odpowiedniem miejscu postawić. Niestety, jak już mówiłem, biskupi nie zadają sobie fatygi zbadania stosunków i składu parafij i wybrania dla nich najodpowiedniejszych księży. Skutkiem tego i te umysłowe

i moralne siły, jakie są, marnują się niezużytkowane, a ogół na tem traci ogromnie.

Inteligencya nad ludem nie pracuje, nadmiar sił i czasu zużywa w kartach. Ksiądz jest pożądanym partnerem, gdy brakuje „czwartego". W grze karcianej skupia się cały nasz ruch umysłowy na prowincyi; ogniskiem tego ruchu często jest plebania, a warsztatem pracy kapłańsko-obywatelskiej — stolik zielony. Po za kartami za pokarm umysłowy służą ploteczki, tłuste niedowcipne dowcipy, a w najlepszym razie polityka gazeciarska.

Jak przy obsadzaniu parafij, tak i przy mianowaniu profesorów seminaryum lub kapelanów do gimnazyów, biskupi nie kierują się względami na zdolności umysłowe i pedagogiczne, na właściwości duchowe danego osobnika. Pierwszy z brzegu, kończący akademię bywa naznaczany na wakującą katedrę profesorską. Nikt go nie pyta, jaki przedmiot studyował specyalnie i jaki ukochał najbardziej? To też seminaryum nasze, to — chyba jedyna w świecie instytucya naukowa, gdzie np. specyalista od dogmatyki wykłada historyę, miłośnik historyi uczy łaciny lub pisma świętego, a nie umiejący gamy zostaje profesorem śpiewu. Nikt też nie pyta, czy kandydat na profesora ma zdolności pedagogiczne, dar wykładania w sposób zajmujący, przykuwający uwagę słuchaczy. Stopień akademicki wystarcza za wszystko, resztę uzupełni Duch święty. Biedny profesor czuje się nie w swoim żywiole, biedni klerycy pomimo całego wysiłku woli nie mogą wyrwać

się z objęć Morfeusza podczas nudnych, suchych wykładów. Budzi biedaka gniewny głos profesora: „ksiądz nie ma powołania, nie panuje nad sobą“.

Biskupi zdają się nie wiedzieć o tej elementarnej zasadzie, że każdy najdalej zajdzie i najwięcej zrobi, gdy pracuje w kierunku swych zdolności i właściwości duchowych, że zapoznanie tej zasady przy nominacyi czy to na parafie, czy to na profesury i kapelanie, prowadzi do marnowania sił i przynosi ogromne straty społeczeństwu. Powinniby byli wziąć tu za wzór zakon Jezuitów; tam każdemu z braciszków zwierzchność wyznaczała pracę najodpowiedniejszą dla jego zdolności: zręcznych dyplomatów umieszczano przy dworach osób panujących, najuczciwszych robiono nauczycielami, najwymowniejszych przeznaczano na kaznodziei, a najodważniejszych na misyonarzy.

Młody lewita po wyświęceniu otrzymuje nominacyę na wikaryusza. Papier urzędowy nominacyjny kończy się słowy: „służyć z pożytkiem dla kościoła i narodu“. Niech tylko młody wikaryusz weźmie na seryo te słowa i naprawdę zacznie pełnemi zapału i wiary naukami pociągać i elektryzować masy, przywykłe drzemać albo wynosić się z kościoła podczas kazań proboszczowskich; niech w czasie wizyty parafialnej (kolenda) zechce przesiadywać czas dłuższy w chacie chłopa, nauczając dzieci, wnikając w życie domowe ludu; niech wraca z wozami i workami, mniej niż zwykle naładowanymi, niech odważy się szerzyć pisma

i książki ludowe i niech za to wszystko lud całą duszą przywiąże się do młodego kapłana — uzbroi się wówczas cała władza przeciwko niemu. Biednyś ty, młody lewito! Proboszcz ogłosi cię intrygantem, burzycielem ludu, przyboczny prałat biskupi wrzaśnie ci: „nie umiecie szanować starych księży“; biskup nazwie cię waryatem i skaże na długie wikaryuszowanie, będzie rzucał jak piłką od jednego proboszcza lub dziekana do drugiego, aż dopasujesz się do owych doświadczonych, starych kapłanów, czyli, innemi słowy, aż święte ognie w twej piersi zagasną, skrzydła, któremi ku niebu się wzbijałeś, opadną. I dopiero tak zrównoważonego i wytrzeźwionego mianują cię proboszczem, byś w przyszłości podcinał skrzydła i gasił święte zapały swych wikaryuszów. Może to w praktyce niemożliwe, ale jakby to świetnie było naznaczać nowowyświęconych lewitów wprost na probostwa, aby nikt im nie przeszkadzał w pracy, pełnej młodzieńczego zapału, entuzyazmu i poświęcenia. Te kilka pierwszych lat pracy przyniosłyby większe owoce, niż kilkadziesiąt lat działalności późniejszej, gdy werwa młodzieńcza osłabnie, zapał pierwszy ostygnie, a życie i lata podetną skrzydła orle. Ileżby zdobyło nasze społeczeństwo pod względem umoralnienia i udoskonalenia chrześciańskiego, gdyby mogło wyzyskać te świeże siły, tego ducha apostolskiego, które teraz marnują się, spętane przez proboszczów i wogóle przez starsze wiekiem i stanowiskiem duchowieństwo. Gdybyż przynaj-

mniej biskupi skracali czas wikaryuszowania młodym księżom, zamiast trzymać ich całe lata w niewoli proboszczów, aż ukształtują ducha swego na obraz i podobieństwo starszych braci w Chrystusie, u których mają uczyć się pracy i rozumu kapłańskiego.

VII.

Szkółki ludowe.

Księża jako narzędzia rusyfikatorskie w szkółkach ludowych.—Przyciąganie księży do szkółek u nas, usuwanie w Królestwie.—Czy usuwanie się księży od wykładów grozi niebezpieczeństwem religii. — Do czego prowadzi uczenie religii po rosyjsku.—Gdzie nasza szkoła religii.

Nie zdarzyło mi się słyszeć pomiędzy księżmi dyskusyi co do kwestyi, czy księża powinni, czy nie powinni wykładać religii w szkółkach ludowych u nas. Na pozór wydaje się, że w tej sprawie nie może być dwu zdań: przecież na całym świecie katolickim księża są nauczycielami religii w szkołach, a więc dlaczegożby u nas miało być inaczej, dlaczegoż byśmy mieli pozbawić szkółkę wpływu religijnego?

Dwie cechy odróżniają szkółki nasze od szkółek w innych państwach świata: 1) wszędzie szkółki są instytucyami oświaty, zaś u nas — narzędziem polityki „obrusienija okrain“; 2) na świecie religia wykłada się w języku, którym się dzieci modlą w domu i w kościele, u nas zaś w języku urzędowym.

Te dwie odmienne cechy tak dalece zmieniają postać rzeczy, że gdy gdzieindziej uczęszczać na wykłady religii jest obowiązkiem kapłana, u nas jest obowiązkiem do szkółek wcale nie zaglądać, jeśli nie chcemy być narzędziami rusyfikatorskiej polityki moskiewskiej.

Rząd zrozumiał dobrze, że usunąć księży ze szkoły, znaczyłoby osłabić powagę i wpływ jej na lud; rząd pojął należycie, że słowo rosyjskie, a tembardziej słowo

religijne, wygłoszone przez usta księdza, (szczególniej u nas, gdzie księża są wyrocznią dla mas ludowych), więcej posłuży „obrusieniju“ ludności katolickiej, niż mozolne usiłowanie czynowników-nauczycieli. Czego nie zrobi nauczyciel — „obrusitiel“, tego dokona kapłan katolicki. Odłączy katolicyzm od polskości, połączy go z rosyjskością i, co najważniejsza, przygotuje lud do słuchania kazań rosyjskich w kościele, do mówienia pacierzy po rosyjsku i do używania „Zołotych Ałtarikow“. Oswojony z wykładem religii po rosyjsku w szkółce, nie oburzy się lud nasz, nie zdziwi, gdy ksiądz odezwie się w tymże języku z ambony. Od szkoły do kościoła krok tylko jeden. A jeśli kiedy powrócą czasy Żylińskiego, to, kto wie, czy lud zaprotestuje przeciwko językowi rosyjskiemu w dodatkowem nabożeństwie, jak to się działo w czasach rytuałowych w latach sześćdziesiątych. Szczęściem u nas bardzo mała garstka księży-gorliwców spieszy do szkółek, ogromna większość kleru zaledwo parę razy przez zimę zagląda tam *pro forma.* Wprawdzie opuszczają oni lekcye przez lenistwo, brak czasu więcej, niż dla zasady, ale w danym wypadku to lenistwo i ten brak czasu jest zbawiennym, bo przeszkadza księżom naszym przykładać rąk do tego rusyfikatorskiego dzieła.

Zasługuje na uwagę okoliczność, że tenże sam rząd opiekuńczy, który u nas tak usilnie stara się o wciągnięcie księży do szkółek, w Królestwie Polskiem usuwa ich zupełnie. U nas tak gorliwy o dobro religijne uczącej się młodzieży, tam tak niedbały, a nawet wrogi.

Zkąd taka różnica? Ażeby dojść jej przyczyny, przypomnijmy sobie, że w Królestwie Polskiem rząd był zmuszony uznać za wykładowy dla religii język polski, nie zaś rosyjski, jak w „Siewiero i Jugo — zapadnom kraje“. Ta różnica języków wykładowych jasno tłumaczy różnicę w wyborze nauczycieli religii. W Królestwie Polskiem, ksiądz, wykładający religię po polsku, nie byłby jak u nas narzędziem rusyfikatorskiem w ręku rządu, więc go nie potrzeba zupełnie: religię będzie wykładał nauczyciel rządowy, będzie uczył przywiązania do tronu i państwa na podstawie zasad religijnych. Słowem przebiegły, czynny rząd usuwa księży od szkółek w Królestwie dla tych samych powodów, dla których u nas przyciąga. Powinno to otworzyć oczy tym ślepym księżom, którzy dotychczas nie widzą, że rząd sprytnie używa duchowieństwa do wykonania swych planów przez szkołę.

Że rząd moskiewski ma takie plany, to nas nie dziwi, ani nie oburza, przywykliśmy do tego przez 100 lat panowania rosyjskiego; ale że biskupi nasi i duchowieństwo dali się użyć za narzędzie do tych planów, że pomagają Moskwie kręcić pętlę na szyję swego narodu, to i boli i oburza i zadziwia zarazem.

Ależ ja zapominam, że wam, szanowni przełożeni moi, i wam bracia w Chrystusie, nie chodzi o naród, a tylko o interesa katolicyzmu i że w imię tego interesu tylko można z wami dysputować. Zgoda! Przyjrzyjmy się, ile katolicyzm zyskuje na wykładach re-

ligii po rosyjsku, albo lepiej, ileby stracił, gdyby takich rosyjskich wykładów wcale nie było.

„Nie umiałyby, powiadacie, dzieci religii“. Przedewszystkiem co do Historyi Świętej, umiałyby ją nie gorzej, gdyż obowiązek uczenia jej włożono na nauczycieli. Co zaś do katechizmu, to, o ile wiem, księża, uczęszczający do szkółki, wcale go nie uczą, poprzestając li tylko na wyuczeniu po rosyjsku pacierza i tych wszystkich „wyliczanek“, które dzieci umieją po polsku jak: „pięć przykazań kościelnych“, siedm św. Sakramentów“ i t. d. Pytam jaki pożytek, że chłopaki nauczą się po rosyjsku tego, co już umieją po polsku? Czy to ma być z pożytkiem dla kościoła naszego, że dzieci, gdy zechcą, albo każe im rząd modlić się po rosyjsku, będą już przygotowane do tego przez własnych księży?

„Księża powinni uczęszczać do szkółek, bo inaczej nauczyciele prawosławni i popi będą uczyli religii katolickiej dzieci i pociągali je ku prawosławiu“. Są to tylko frazesa strasznie brzmiące dla ucha katolickiego, w rzeczywistości rzecz się ma mniej niebezpiecznie, a nawet zupełnie bezpiecznie. Nauczyciele, jak mówiłem już, uczą tylko Historyi Świętej, która katolickim zasadom nie grozi, bo jest taką samą u nas, jak i u prawosławnych. Co zaś do popów, to nie wiem, czy jest choć kilka przykładów nauczania przez nich dzieci katolickich. A jeżeli są, to spustoszenia wielkiego w kościele nie zrobią, gdyż lud nasz, naturalną siłą rzeczy, widzi w popach przedstawicieli wrogiej nam re-

ligii i wrogiego rządu, nie ma do nich zaufania i wpływom ich religijnym nie ulega. Zresztą można w ostateczności dla zneutralizowania ich rzekomego wpływu ograniczyć uczęszczanie księży tylko do szkółek, wziętych pod wpływ propagandy popiej, a takich znajdzie się może kilka zaledwie.

Mojem zdaniem, nie opuszczanie lekcyj religii, lecz gorliwe odwiedzanie ich przez księży jest szkodliwe dla katolicyzmu, gdyż rosyjski wykład religii usuwa jedną z różnic zewnętrznych pomiędzy prawosławiem a katolicyzmem. W pojęciu ludu polskość tak się zrosła z katolicyzmem, a rosyjskość z prawosławiem, że chłop zapytany: „jakiej jesteś wiary“, odpowie: „polskiej“, jeśli jest katolikiem, a „ruskiej“, jeśli jest prawosławnym. Łączenie więc religii katolickiej z rosyjskością, dokonywane w szkółkach, przez księży uczęszczanych, jest zniesieniem jednej z zapor pomiędzy naszą wiarą a panującą — zewnętrznem upodobnieniem i zbliżeniem katolicyzmu do prawosławia. Pytam: komu — nam, czy im — wyjdzie na pożytek takie zbliżenie.

Zbrodnią przeciw religii, popieraniem rządu w wynaradawianiu mas jest wykładanie religii po rosyjsku w szkółkach ludowych. Przygotowanie do pierwszej spowiedzi, do pierwszej komunii świętej — oto, lekcye religii dla dzieci naszych. Katechizacye niedzielne w kościele — oto szkoła religii dla ludu naszego. Tylko taka szkoła nam pozostała, w niej zużytkowujmy naszą gorliwość religijną o dobro ludu i kościoła na-

szego. A jeśli już urzędowy papier biskupa nakazuje nam odwiedzać szkółki ludowe, to odwiedzajmy je parę razy w ciągu zimy, nie więcej i poprzestańmy na religijnej pogawędce z dziećmi w języku ludowym: t. j. litewskim na Litwie, — białoruskim na Białorusi. Wymówić się od lekcyj u nas, gdzie taki brak księży a nawał pracy ogromnej, bardzo łatwo brakiem czasu i sił, co zresztą nie będzie kłamstwem, gdy te godziny, którebyśmy spędzili w szkółce, poświęcimy na nauczanie dzieci w kościele.

VIII.

Chciwość księży.

Targ pobożny. — Klasyfikacya ślubów. — Zysk ze spowiedzi. — Zachęta do mszy składkowych. — Reszta. — Krzyże cmentarne. — Wizytacya parafii (kolenda). — Pracowitość. — Zrozumienie ducha słów Chrystusowych. — Ubóstwo i samotność ascetyczna. — Gościnność. — Przygoda, wywołująca śmiech i łzy.

Na progu plebanii staje kobieta zapłakana, wita proboszcza głębokim ukłonem. „A co powiesz?“, pyta sługa Boży. „Mąż umarł, ile ojciec duchowny każe zapłacić za pochowanie?“ — „Czyż nie wiesz, tyle co i wszyscy“. — „Ojcze duchowny, dzieci drobne, mąż długo chorował, lekarstwa, doktory dużo kosztowali“. — „Cyt! co tam piszczysz, babo, znalazłaś na doktorów, a czyż kościół gorszy?“ „Prawda, ojczulku, na kościół to tak jak dla Boga, nie trzeba żałować, ale cóż ja biedna pocznę, mam tylko trzy ruble i te pożyczone“. „Masz gospodarstwo, masz krowy, możesz pożyczyć jeszcze“. Podobne dyalogi pomiędzy pasterzem a owieczkami nie należą do wyjątków. Targi o pogrzeby i inne posługi religijne odbywają się iście po żydowsku. Chciwość i chłód bezlitośny wieje od tych żywych wcieleń ewangelicznej miłości bliźniego. Ojcowie duchowni mają zwykle dużo wiadomości pożytecznych: wiedzą ile dziewczyna wnosi posagu, umieją prędko obliczać sobie procenta. Umieją klasyfikować śluby w ten sposób, że jedne pary narzeczonych stają do ślubu u ołtarza, inne u drzwiczek, wiodących do presbiteryum, zależnie od tego, ile za ślub zapłacą. Tak się zaznacza równość bogatych i biednych wobec Boga i kościoła.

Konfesyonał, ten trybunał pojednania z Bogiem, służy nieraz za narzędzie oszczędności lub dochodów proboszczowskich. Za pokutę lub restytucyę spowiednicy każą kłaść określoną ilość funtów świec na ołtarz, lub pieniędzy do skarbony. Czyż nie jest to wyzyskiwanie nawet pokuty grzesznika dla własnej kieszeni? Wybaczcie, bracia w Chrystusie, że się ośmielę wam zaproponować naznaczanie ofiar u spowiedzi na rzecz biednych, którzy niewiele mają chleba, a wstydzą się ręki wyciągać, którzy, nie mając grosza na lekarstwa, przedwcześnie osierocają swe dzieci. Takich jest moc w każdej parafii wiejskiej i miejskiej; to są nędzarze biedniejsi od żebraków, bo wstydzą się żebrać. Czyim obowiązkiem jest wyszukać ich i podać rękę miłosierną? Czy nie naszym?

Znam filary kościoła, co usilnie zalecają swym owieczkom msze składkowe; dowodzą oni, że do takich mszy zbiorowych przywiązane są szczególne łaski, że nie każdy przecie może zdobyć się na mszalną obligacyę, a drobnymi datkami mogą złożyć na mszą świętą. I dzień będzie oznaczony i ołtarz. Trudno, zwłaszcza dewotkom, oprzeć się takim pobożnym pokusom, gorliwie krzątają się koło zbierania na mszę składkową i dostarczają tym sposobem swym przewodnikom duchowym, *pecunia stipendi*.

Zwykłą jest u nas rzeczą, że ksiądz po otrzymaniu rubla za chrzest lub zapowiedzi nie daje reszty; bierze monetę, dziękuje i robi minę, jak gdyby był pewny, że dający nie czeka reszty. Taka pewność od-

biera chłopkowi odwagę, podrapie się biedak w głowę i z miną zakłopotaną wychodzi z plebanii, nie upomniawszy się o swoje.

Pewien kapłan, zaskoczony niespodzianie papierem tranzlokacyjnym, nie wiedział, co ma począć z krzyżami, obalonymi na cmentarzu. Zostawić — szkoda. Zużytkować na opał — niema czasu. Więc sprzedać? Sprzedał żydom z poblizkiego miasteczka.

Wizyta parafialna, czyli tak zwana u nas „kolenda", czyż nie zeszła na narzędzie naładowywania worków i kieszeni kapłańskich? Jeśli, bracie, nie masz za obowiązek posiedzieć trochę w każdej chacie, porozmawiać, zapytać o biedy, kłopoty każdego, przygarnąć i ośmielić dziatwę, to lepiej zaniechaj kolendy. Jeśli pieśń święta na ustach, krzyż Chrystusowy w ręku ma służyć tylko ku wybieraniu dziesięcin, nie stawaj na progu chat, dworków lub kamienic. Wielkość parafii nie daje prawa do pospiechu, można kolendę rozłożyć na dwa i trzy lata. Zamęczacie się na śmierć! Objeżdżacie dziesięciotysięczną parafię co rok! Cóż dziwnego, że brakuje czasu na spowiadanie, na przygotowanie się do nauki. Szkoda naszego cennego zdrowia! Święta, rzadka żarliwości!... „Zelus domus tuae comedit me!"

Ten „zelus" budzi w nich niezadowolenie z małej parafii. Oni chcą szerszego pola pracy. „Pasterzu, mówią do biskupa, ja mam siły i zdrowie, ja chcę pracować, a tu nie ma co robić na tak małej parafii".

A ciekawymi zapewnie byłyby te zatargi przy

tranzlokacyi proboszczów o każdy zamek we drzwiach, o każdy garniec zboża, garść siana, zatargi, opierające się aż o konsystorz.

„Łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogaczowi wnijść do królestwa niebieskiego“, powiedział Chrystus Pan. Księża nasi zapamiętali dobrze te słowa; z całem poświęceniem się sług Bożych, usuwają z drogi wiernych bogactwa, te zawady do nieba; z narażeniem własnego zbawienia troszczą się o ułatwienie drogi do nieba duszom sobie powierzonym. „Dobry pasterz duszę swą kładzie za owce swoje“. Zbawiciel nasz powiedział: „Paś owce moje“, ale zapomniał dodać i „strzyż je“; lecz domyślni księża nasi uzupełnili czynami to, czego Jezus Chrystus nie domówił i strzygą porządnie swe owieczki. Owieczka przecie na to, żeby ją strzydz. A jeśli która mniej pokorna, ukłuta do żywego nożycami, zabeczy tak głośno, że głos ten dojdzie do uszu arcypasterza, to skarga najczęściej ma ten skutek, że krnąbrna owieczka zostaje wyklęta z ambony, dostaje batem i nadal już głosu nie podnosi.

Rodzoną siostrzyczką chciwości jest skąpstwo. W mieszkaniu takiego dusigrosza wszystko nosi cechy prawdziwego ubóstwa, począwszy od sutanny, kończąc na umeblowaniu, dekoracyi mieszkania. Ten leżący na pieniądzach sknera, kryje się pod maską ubóstwa ewangelicznego, a nie tylko ubóstwa, lecz i samotności ascetycznej. Gorliwie pilnuje parafii, nigdy na świat Boży nie wyjrzy. Jak prawdziwy anachoreta zrywa

ze światem, nawet z kolegami, ze wszelkiem towarzystwem. Naiwni schylają czoła przed taką samotnością, ani domyślając się, że jest ona tylko skutkiem zdziczenia, zabicia wszelkich uczuć ludzkich — społecznych, skutkiem tego chorobliwego stanu psychicznego, w którym człek lęka się ludzi, nie ufa, nie może im śmiało w oczy spojrzeć.

Nie odwiedzaj, kolego, takiego samotnika: na widok twój dozna ciosu, jakby mu piorun u nóg spadł; uspokoi się dopiero wówczas, gdy powiesz, żeś na chwilę zajechał i nocować nie będziesz. Gościnność budzi się w nich tylko dla sprawnika, asesora, żandarma — wogóle urzędnika moskiewskiego. Tu nad skąpstwem i dzikością przeważa tchórzostwo. Aż włosy mu na głowie powstają, oddech w piersi zamiera na widok błyszczących guzików i gwiazdek czynowniczych. Zwykłych gości można pozbyć się chociażby chłodnem przyjęciem, ale te figury moskiewskie w uniformach są niebezpieczne, trzeba z niemi żyć, dobrze i gościnnie podejmować.

Kolega mój, ksiądz, udał się w dalszą kilkunastomilową podróż. Droga była zbyt daleką, żeby ją można było odbyć w jednym dniu, tembardziej, że dzień był upalny. O zmierzchu podróżny zawrócił do spotkanej po drodze plebanii w nadziei przenocowania. Sposób przywitania i wyraz twarzy gospodarza był tak wymowny, że podróżny ksiądz zrozumiał, iż noclegu tu nie znajdzie. Po krótkim odpoczynku dla koni i zape-

wnieniu gościnnego proboszcza, że droga dobra i nawet w nocy pewna, udał się w dalszą podróż. O pół wiorsty od plebanii miał możność sprawdzenia zapewnień plebana o dobroci drogi: wpadł z końmi do wyrytego ulewą parowu. Przekonawszy się, że kości koni i własne są całe, jedzie dalej. Droga górzysta, nieznajoma. Postanawia przenocować w pierwszej spotkanej wiosce, ale wioski nie było. Szczęściem, znajduje karczmę. Rozbudzony, senny żyd zmierzył księdza wzrokiem od stóp do głów i powiedział, że miejsca niema. Widocznie wziął podróżnego za osobistość przebraną, i podejrzaną; czyż mógł bowiem przypuścić, że prawdziwy ksiądz będzie szukał noclegu w brudnej karczmie, mając po drodze kościół i plebanię?

Podróżny nasz zmuszony był zanocować na skraju pierwszego spotkanego lasu. Na szczęście noc była ciepła, lipcowa, pogodna. Łono natury go przygarnęło. Pod otwartem gwiaździstem niebem, śród woniejących sosen, na kobiercu z mchu i kwiatów leśnych legł czekać jutrzejszego świtu. Opowiadał mi w kilka tygodni potem, że zanim sen skleił znużone powieki, cisnęły się mu do głowy refleksye na temat gościnności i ludzkości braci w Chrystusie. W rezultacie nie rzucił na nich kamieniem, nie oburzył się, lecz uczuł litość dla tych skąpców-odludków. Nieszczęśliwe to istoty: nikogo nie kochając i przez nikogo niekochane, wloką swój marny żywot bez pożytku dla ludzi, bez żadnej moralnej pociechy dla siebie, aż skonają w opuszczeniu, okradzeni przez służbę i bliższe otoczenie.

IX.

Litera bez ducha.

Pogański chrześcijanizm. — Parę typowych przykładów. — Bigoterya albo dewoterya. — Prawdziwa pobożność. — Wolnomyślny religijniejszy niekiedy od świętoszków. — Z dewocyą łączy się młodość księży i smarowanie tłustego połcia. — Kilka typowych przykładów pobożności księży. — Ich rzemieślnicza religijność. — Zkąd lud czeka zbawienia? — Upadek państw katolickich. — Bądźmy szczerzy. — Gdzie szukać lekarstwa.

Pobożność naszego ludu nazwałbym chrześcjańskim poganizmem lub pogańskim chrystyanizmem. Obrzędy religijne przestrzegane są dosyć skrupulatnie, a w życiu — duch pogański. Lud chodzi do kościoła, spowiada się, odmawia codziennie pacierze, skrupulatnie obserwuje posty, a jednocześnie pełen wzajemnej nieżyczliwości, cieszy się z niepowodzeń bliźniego, nie szanuje cudzej własności, podżeganiem sieje niezgodę w sąsiedztwie, kłótnią i przekleństwem piekło robi w domu. Przeciętny chłop nasz martwić się będzie różańcem straconym, splunięciem po komunii, ale bez skrupułu weiśnie się na cudzą łąkę, niwę, las, okradnie brata w gumnie, świadczy lub sądzi fałszywie w gminie za kieliszek lub rubla, pieniędzy bez świadka pożyczonych nie odda, wdowę i sierotę skrzywdzi i nikt z sąsiadów nie stanie śmiało w obronie słabszego, bo obojętnym jest na cierpienia bliźniego, bo szanuje tylko siłę.

Pewien parobek ukradł połeć słoniny, ale ponieważ był to piątek, nie jadł jej ani tego, ani następnego dnia, dopiero w niedzielę zaczął spożywać owoc

swego złodziejstwa.—Inny znowu złapany został z bydłem w cudzej niwie, z różańcem w ręku i modlitwą na ustach. To są dwa prawdziwie typowe przykłady pojęć moralnych naszego ludu. Forma bez treści, łupina bez ziarna, litera bez ducha. A przecież lud ten nie należy do jakichś tam niedowiarków, to lud pełen wiary, gotowy życie swe oddać za religię, a jednak tak nierozwinięty moralnie. Etyka więc nie zawsze idzie w parze z dogmatyką, chociaż każdy prawie ksiądz uporczywie twierdzi, że moralność ma źródło tylko we wierze świętej.

Weźmy teraz kwiat pobożności naszej swojskiej, rodzinnej — dewoteryę. Dewotki najmniej raz na miesiąc odbywają spowiedź, przystępują do częstej komunii, chodzą ze spuszczonemi oczami, mówią głosem pokornym, mają na sobie różańce, szkaplerze, paski święte, przy sobie — duże książki do nabożeństwa, chodzą od kościoła do kościoła, nie opuszczą odpustów, nabożeństw uroczystych, lecz na tem koniec pobożności. Pełne gniewu świętego na bezbożnych braci, mężów, sąsiadów, na księży, nie chcących ich co tydzień spowiadać, na siostry duchowne, które potrafiły zaskarbić więcej łask u ojczulka duchownego, mają na swoim języczku, uświęconym przez tyle modlitw, dużo pobożnych ploteczek i świętych potwarzy o bezbożności ludzkiej. Pobożności czynnej, przenikniętej miłością Boga i bliźniego, nie znajdziesz w nich ani śladu.

Dopóki dewotki nasze nie zajmą się pocieszaniem smutnych, wyszukiwaniem nędzarzy i niesieniem im

pomocy duchowej i materyalnej; dopóki nie poświęcą się nauczaniu ciemnych i ubogich dzieci miejskich, czy też wiejskich; dopóki nie poczują się w obowiązku szerzenia pism i książek ludowych, słowem dopóki obok modlitwy nie postawią czynu, obok litery — ducha, dopóty wszyscy światli chrześcijanie będą uważali dewocyę taką, jaka jest obecnie, nie za chrześcijańską, lecz za karykaturalną, talmudyczna.

Muszę tu wspomnieć nawiasem o jednej okoliczności, tyczącej się dewotek, mianowicie: dlaczego w gronie pobożniś najczęściej widzimy młode twarze i dlaczego na ojca duchownego wybierają one zwykle młodego i nieszpetnego księdza? Dlaczego staruszkowie nie kwalifikują się na przewodników po drodze doskonałości chrześcijańskiej? Gdy się patrzy na to zjawisko, mimowoli cisną się do głowy takie myśli: gdyby zamiast kapłanów zasiadały w konfesyonałach nadobne kapłanki, to, kto wie, czy nie więcej mielibyśmy wówczas dewotów, niż dewotek; kto wie, czy pod maską miłości ku Chrystusowi nie kryje się jakieś inne, może nieuświadomione, ale nic wspólnego z pobożnością nie mające uczucie do niewinnego jak aniołek (?) księżulka. Afekt cór duchownych objawia się w obfitych prezentach, jak np. tłuste obligacye, bogate komże, stuły i ornaty, słoje najwyborniejsnych konfitur, wspaniałe torty, wyborowe szynki, sery i t. d. (o bukietach, abażurach, dywanach, serwetach zamilczę). Pobożność prawdziwa kazałaby księdzu tych darów nie przyjmować i ofiarność cór pobożnych skierować ku prawdziwej,

tak dziś rozwielmożnionej nędzy. Prezenta te to nie bogobojność, lecz smarowanie tłustego połcia, szczególniej u nas, gdzie duchowieństwo, dzięki swego rodzaju pobożności mas i ogromnym parafiom jest uposażone, jak nigdzie na świecie.

Przyjrzyjmy się teraz pobożności księży. Pewien kapłan, przybyły do dworku obywatelskiego dla ochrzczenia dziecka, wyniósł się natychmiast, jak tylko po dokonaniu obrzędu sakramentalnego rozpoczęto tańce. „Niedowiarki, zawołał w świętym gniewie, nie umiecie uszanować olejów św.“ Tak skrupulatne sumienie nie przeszkodziło mu jednak obdzierać niemiłosiernie i bezwstydnie swoich parafian i kłamać bezczelnie przed kratkami sądowemi, przed które został pociągnięty z powodu zatrzymania zapłaty rzemieślnikowi. — Inny znowu ksiądz bardzo gorliwy, uważany przez zwierzchność za filar kościoła, tak dalece strzeże swej niewinności, iż w plebanii jego niema żadnej kobiety, nawet krowy doją mężczyźni; ten jednak asceta jest istnym katem dla swych wikaryuszów, traktuje ich jak niewolników, trzyma przy progu, nie prosi siadać, gdy przyjdą za interesem, zabrania zawierać znajomości, każe lokajowi śledzić, kto był u wikarego, od czasu do czasu przychodzi sam rewidować książki i pisma w mieszkaniu wikaryusza. Ten, niby naśladowca Chrystusa, udaje arystokratę, nie umie jeździć bez karety, bez lokaja i furmana w liberyi, a gdy poczciwy ojciec siermiężnik ośmielił się przekroczyć arystokratyczne progi synalka, ewangeliczny kapłan kazał mu natych-

miast wyjeżdżać i więcej już się nie pokazywać.

Przeciętny ksiądz nie zaniedbuje brewiarza, skrupulatnie wypełnia obsługi i przepisy obrzędowe, gdy jednak wejrzymy głębiej w jego życie i ducha, to zobaczymy, że nie ma najmniejszego współczucia, nie zdobędzie się na słowo pociechy dla sierót i płaczących, pożałuje kilku rubli na leczenie chorej matki lub ojca drobnych dzieci, nie da pomocy zostającemu w położeniu bez wyjścia, chociaż mała pożyczka ustrzegłaby biedaka od licytacyi, przegrania słusznej sprawy, od nędzy; nie dba zupełnie po rzemieślniczem wypełnieniu obowiązków ani o moralność, ani tembardziej o oświatę swoich parafian. Ksiądz-samolub, od którego wieje chłód bezlitośny, to typ naszego duchowieństwa. Skrupulatnie przestrzega litery kościelnej, ale nie ma ducha ewangielicznego, modli się ustami, a nigdy czynem.

Pytam, skąd wierni wyrobią w sobie ducha miłości bliźniego, stanowiącego podstawę nauki Chrystusowej, kiedy ducha tego nie widzą w zastępcach Chrystusa? Cóż dziwnego, że ciemne, a nawet inteligentniejsze warstwy ludności zasadzają pobożność na formułkach i praktykach obrzędowych, kiedy przedstawiciele idei Chrystusowej stali się urzędnikami kościelnymi, formalistycznie li tylko wykonywującymi literę prawa, a nie mającymi jego ducha.

Pobożne masy wierzą, że błogosławieństwo niebios i szczęście pozagrobowe zdobędą skuteczniej za pomocą zakupionej mszy św., ofiar pieniężnych, pielgrzymek

do miejsc cudownych, postów, odpustów i rozgrzeszeń sakramentalnych, niż za sprawą własnego udoskonalenia moralnego. Często daje się słyszeć zarzut, że prowadzimy wiernych do nieba za pieniądze; modlitwy, niektóre sakramenta, odpusty, cudowne obrazy, nabożeństwa — wszystko to są środki — dla wiernych do zdobycia nieba, — dla księży do naładowania kieszeni. Tak mówią bezbożnicy. Nie zadamy im kłamu, dopóki obok modlitwy nie postawimy miłości, obok słowa — czynu, obok obrządków, odpustów i sakramentów — bezinteresownego poświęcenia się i wyższości moralnej.

Uwagę świata uderza upadek państw katolickich. *Par excellence* katolicka Polska już sto lat temu znikła z mapy geograficznej. Katolickie Włochy stały się siedliskiem anarchistów i nędzy ekonomicznej, pobite przez dzikie hordy Menelika. Najbardziej przywiązana do kościoła i jego głowy Hiszpania, straciła przed kilku laty olbrzymie kolonie, zostawiając w nich półdziką ludność i wspomnienie kilkowiekowego barbarzyństwa i wyzysku. Przodująca jeszcze do niedawna światu Francya, ta pierwsza córa kościoła, stała się klasyczną ziemią upadku publicznych i prywatnych obyczajów. Słaby przyrost ludności, wyradzanie się fizyczne, upadek moralności nie wróżą świetnej przyszłości ojczyźnie św. Ludwika. Katolicka Austrya coraz bardziej pozostaje w tyle poza innemi państwami. A w nowym świecie? Brazylia drzemie w ciemnocie, lenistwie i zepsuciu. Ciekawą statystykę podaje „*Le te-*

moignage" o rzeczypospolitej Equador, gdzie czwarta część majętności w kraju należy do biskupów; na 150 mieszkańców jeden kościół, na 10 mieszkańców 1 zakonnik lub zakonnica, świąt obchodzi kościół 272 na rok. Mimo to na 100 dzieci — 75 nieprawych.

Fakty powyższe uderzają jeszcze bardziej, gdy państwa katolickie zestawimy z protestanckiemi; gdy tamte rozprzęgają się moralnie i politycznie, protestanckie (Niemcy, Anglia, Stany Zjednoczone) rosną w potęgę, wpływy, znaczenie, zagarniają coraz większe obszary Azyi, Afryki, Ameryki i Australii pod posiew nauki ewangelickiej. Zdawałoby się, że nad narodami katolickimi niewidzialna ręka Boża wypisała: „Mane Tekel Fares". Ponieważ jednak wierzymy, że bramy piekielne nie zwyciężą naszego kościoła, musimy przypuścić, że mu przybędzie na pomoc jakaś reforma, która doleje krwi, doda życia i sił choremu na anemię organizmowi katolickiemu. Zgroza i oburzenie święte przejmuje was, kapłani na księdza, co śmie pisać takie o swym kościele niepochlebne rzeczy. Dosyć już tego ukrywania niemocy przed swoimi i przed obcymi! Nie bądźmy tym ptakiem, co na widok niebezpieczeństwa chowa głowę pod skrzydła, zamyka oczy i sądzi się być bezpiecznym. Lepiej poddać się bolesnej operacyi, zażyć gorzkich lekarstw, niż z obłudnem wmawianiem w siebie „wszystko jest dobrze!" drzemać w błogiej bezczynności i przewlekać chorobę w niemoc.

Przyczyną niemocy zdaje się być bezduszny formalizm i rutyna. Lekarstwo zawiera się w usunięciu

przyczyny, znajdziemy je w dwu wyrazach: światło i miłość. „Jam jest światłość świata". „Będziesz miłował bliźniego twego jak siebie samego". Chrystus Pan oświecał i kochał. On wzorem naszym. Jak kochamy, widzieliśmy w dwu listach ostatnich, jak świecimy, czyli oświecamy, zobaczymy w następnym.

X.

Ciemnota.

Ciemności egipskie i ich przyczyny. — Osłabienie fizyczne wskutek złych warunków zdrowotnych jest jedną z przyczyn ciemnoty. Wrogie usposobienie względem nauk świeckich. — Parę przykładów. — Następstwa ciemnoty. — Jak biskup nasz popiera żądnych wiedzy. — Głosy biskupów. — Ks. Müller. — Ksiądz pewien bardzo ześwieczczony.

Śmiało twierdzę, że ciemności egipskie panują w głowach naszego duchowieństwa. Niski cenzus naukowy przed seminaryum, ciasny program w seminaryum, marny stan akademii duchownej i, co za tem idzie, brak światłych, wszechstronnie wykształconych profesorów — oto przyczyny ciemnoty naszego duchowieństwa.

Do seminaryum wstępują przeważnie ludzie, mający przed sobą wszystkie drogi zamknięte. Wydaleni za nieuctwo z gimnazyum; niechcący lub nie mający środków do skończenia gimnazyum; przeznaczeni jeszcze w dzieciństwie na księży synowie organistów, zakrystyanów lub zamożnych włościan litewskich; chcący uniknąć uciążliwej powinności wojskowej — wszyscy tacy zdobywają jako tako 4-ro klasowe świadectwo i walą na księży. Oto jest powołanie i przygotowanie do zawodu kapłańskiego. To stałe prawidło, o wyjątkach nie mówię. Nie darmo ktoś złośliwie i dowcipnie nazwał seminaryum, „refugium asinorum“. Dosyć spojrzeć na kandydatów do stanu duchownego, być obecnym przy ich wstępnym egzaminie, aby się przekonać, że niema tu materyału na światłych księży. Cztery lata w seminaryum to czas za krótki, aby można było

takich nieuków głębiej rozwinąć, szczególniej przy profesorach, pozbawionych wszechstronniejszego wykształcenia i zdolności pedagogicznych. Seminaryum, zakrzepłe w średniowiecznym scholastycyzmie, strzeże pilnie, by jaśniejszy i świeższy promień nauki współczesnej i wiedzy nie przedarł się do umysłów młodocianych. Jako przeszkodę do rozwoju umysłowego należy tu uważać najgorsze warunki zdrowotne seminaryum; ciasne cele, małe sale naukowe, zaduch, brak gimnastyki i ruchu. Raz na tydzień odbywana przechadzka nie jest w stanie zneutralizować powyższych ujemnych warunków. Dla organizacyj słabszych zbyt rzadka i zbyt przewlekła i forsowna przechadzka zamiast zdrowia przynosi chorobę: katary nadmierne, zmęczenie i w następstwie bezsenność, której wielu doświadcza w nocy po przechadzce. Nie mogąc zasnąć wcześniej jak o godz. 10-ej, 11-ej, zmuszeni wstawać o 5-ej, cały dzień czują się znużeni i senni. Wydrzemią się na lekcyach, wieczorem, do 11-ej zasnąć nie mogą, i tak ciągle drzemaniem w salach lekcyjnych lub celach organizm wynagradza brak snu nocnego. Sądzę, że racyonalniej byłoby jednorazową na tydzień przechadzkę rozdzielić na dwie i wstawanie o 5-ej przenieść na 6-tą godzinę, jak w czasie wakacyjnym. Może taka zmiana pociągnąć za sobą pewne trudności w rozkładzie czasu i lekcyj, ale rzecz tak ważna, jak zdrowie i świeżość umysłowa, powinna być uwzględniona nasamprzód i przedewszystkiem.

Z osłabieniem sił fizycznych, słabną i duchowe.

Dziś już śmiesznie i naiwnie brzmi średniowieczna maksyma: dla wzmocnienia ducha osłabiajmy ciało. Pomiędzy duchem a ciałem powinna zachodzić zupełna harmonia; rozwijanie jednego kosztem drugiego jest zabijaniem obu. In corpore sano mens sana — mawiali Rzymianie, a współczesna psychofizyologia dowiodła, że mieli zupełną racyę. Osłabieni fizycznie (dosyć spojrzeć na twarze blade kleru) przez złe warunki zdrowotne i hygieniczne, klerycy nie mają dość sił nerwowych do produkcyjnej pracy umysłowej, wynoszą z seminaryum zarodki chorób gardłowych, piersiowych, żołądkowych, nerwowych, które prędzej się rozwijają, niż ziarenko prawdy i dobra. Nic dziwnego — mają lepsze potemu warunki.

Półpiśmienny, że tak powiem, przed seminaryum, znudzony suchymi, opartymi na systemacie „kuciowym“ (pamięciowym) wykładami, osłabiony fizycznie, młody lewita nie wynosi z seminaryum ani zamiłowania do wiedzy, ani podstaw do jej zdobycia. Luki wykształcenia kościelnego żądniejsze wiedzy umysły uzupełniają już na parafii. O samokształceniu w naukach świeckich nikomu prawie na myśl nie przychodzi. Odgrodzeni murem chińskim od najnowszych wyników wiedzy ludzkiej w seminaryum, i w późniejszem życiu nie tylko nie uważają sobie za obowiązek poznać historyi i literatury swojskiej i powszechnej, nauk społecznych, ale uważają je za niepotrzebne a nawet szkodliwe dla kapłana, jeśli nie są traktowane w duchu teologicznym t. j., jeśli nie są *ancilla theologiae.*

Kalif Omar po zdobyciu Aleksandryi zdecydował los sławnej biblioteki w ten sposób: „Albo w tych książkach jest to, co i w Koranie, albo to, czego tam niema; w pierwszym razie są niepotrzebne, w drugim — szkodliwe, — więc w każdym razie trzeba je spalić“. Ów bohater Islamu przypomina mi większość naszych księży. Oni podobnież rozumują, zamieniając wyraz „koran“ na „teologia“.

Niektórzy księża, zwabieni taniością „Biblioteki dzieł wyborowych“, zaprenumerowali to wydawnictwo, ale, przekonawszy się, że nie daje ono żywotów świętych, ani ojców kościoła, ani historyi kościelnej, ani rozmyślań duchownych, zaniechali dalszej prenumeraty, machnąwszy lekceważąco ręką: „Et! same bajki, głupstwa, albo bezbożne książki!“ Jeden nawet, jak mi wiadomo, a było ich zapewne więcej, wyczytawszy w „Przeglądzie katolickim“, że „Psychologia rozwoju narodów“ (w Bibliotece dzieł wyborowych) odznacza się duchem wolnomyślnym, niezgodnym z teologią, odesłał w świętym ferworze księgę napowrót do redakcyi, by nie profanowała (księga nie redakcya) mieszkania kapłańskiego.

Udałem się z wizytą do sąsiada proboszcza; nie znalazłszy gospodarza w domu, chciałem skrócić sobie czas czytaniem. Rozejrzałem się dokoła, nigdzie ani książki, ani czasopisma, ani gazety. Przez drzwi w sąsiednim pokoju spostrzegłem szafkę oszkloną, z radością zbliżyłem się do niej i widzę masę . . . . szklanek, spodków, kieliszków, parę talij kart. Zwracam

się do służby z zapytaniem, czy nie wie, gdzie książki lub gazety proboszcza. Dowiedziałem się, że żadnego czasopisma proboszcz nie trzyma, książki zaś leżą w komorze. Poszedłem tam za służącym. Pomiędzy pakami, paczkami, łachmanami, staremi rupieciami pod połamaną kanapą leżała kupa bezładnie rozrzuconych książek. Były to podręczniki seminaryjskie, okryte grubą warstwą kurzu, niektóre odarte z okładek. Później się dowiedziałem z ust samego proboszcza, że z książek owych korzysta tylko syn zakrystyana i to w ten sposób, że odrywa okładki i obraca je na oprawę książek do nabożeństwa faworyzowanym dziewczętom wiejskim. Tych parę przykładów ilustruje dosadnie życie umysłowe naszych przewodników do nieba. Z ciemnoty płynie ciasnota pojęć, brak poczucia obowiązków społeczno-obywatelskich, które zjawia się tylko na pewnym wyższym poziomie umysłowym. Z ciemnoty płynie uległość i tchórzostwo duchowieństwa wobec najezdniczego rządu. Ciemnota jest przyczyną, że kazania nasze drukowane i niedrukowane, tak są naszpikowane zmyślonymi cudami, pobożnemi baśniami ku zbudowaniu i zastraszeniu prostaczków i naiwnie pobożnych. Ciemnota wytworzyła bezduszny formalizm religijny, pobożność bigoteryjną, opartą na formułkach i obrzędowości zewnętrznej. Obskurantyzmowi też zawdzięczamy, że mamy albo Bilakiewiczów, gotowych przywrócić tortury i stosy średniowiecznej inkwizycyi, albo tylko dobrych ekonomów, karciarzy, sybarytów, amatorów koni i zbieraczy mamony.

Światła, światła i jeszcze raz światła nam potrzeba, i to światła wszechstronnego, światła jak najwięcej! „Na głupców i Duch św. nie zstępuje“, powiedział jeden z byłych rektorów seminaryum. Złote są to słowa! Nawet teologia moralna radzi wybrać raczej światlejszego spowiednika, niż pobożniejszego a ciemnego.

O potrzebie podniesienia wykształcenia teologicznego mówić zbytecznie, o tem chyba wiedzą biskupi, chociaż nie wszyscy. Nasz, naprzykład, arcy-pasterz nie uwolnił jednego z księży na studya teologiczne zagranicę (zdaje mi się do Fryburga), chociaż ten czuł w duszy głos, wzywający ku wyższemu wykształceniu. Za podstawę do odmowy posłużył pasterzowi brak księży. Na prosty rozum, zdawałoby się, że w dziedzinie ducha nie ilość lecz jakość przeważa. Biskup widocznie z natchnienia Ducha św. inaczej sądzi. Jeśli teologiczne studya nie znajdują w arcy-pasterzu naszym poparcia i podniety, to cóż mówić o zachęcaniu do nauk świeckich*). Nie wszyscy jednak biskupi tak lekceważyli naukę.

Ks. Zygmunt Szczęsny Feliński tak pisze: „Do podniesienia godności moralnej nie specyalne, ale

---

*) Wogóle biskup nasz widocznie nie przywiązuje żadnej wagi do wykształcenia. W czasie wizyty dyecezyalnej nie zwróci nigdy uwagi na życie umysłowe księży, nie zapyta: czy i jakie ksiądz czyta książki, czy i jakie pisma prenumeruje. Nigdy nie zagai poważniejszej rozmowy, nawet jest niezadowolonym, jeśli który z księży potrąci o jakiś szerszy temat.

ogólnie naukowe wykształcenie jest potrzebne, i to nietylko umysłu, ale i serca, i woli, tak, aby dusza wszystkiemi władzami swemi nad zwykły poziom się podnosiła". Ks. biskup Niedziałkowski w mowie, wygłoszonej przy objęciu rektoratu akademii duchownej, zaznaczył potrzebę dla księży nauk świeckich. Ks. biskup Awdziewicz jednemu z księży, który uczuł skrupuły z powodu czytania książek nieteologicznych, powiedział: „Owszem kapłan powinien czytać wszystko i wszystko wiedzieć, aby świat nie pomawiał nas o obskurantyzm, prawdziwa wiara nie lęka się nauki, prawdy fałsz nie zwycięży; wiedza i wiara od Boga pochodzą i do Boga prowadzą". Tak mówił biskup, którego o liberalizm zbytni nikt nie posądzi.

Czas już, wielki czas zburzyć ten mur obskurantyzmu, który oddziela nasze seminarya a nawet akademię od nauki współczesnej. Nie można na zawsze zasklepiać się w średniowiecznym scholastycyzmie pod karą strupieszałości umysłowej i moralnej. Na Zachodzie powiały nowe prądy w kierunku wszechstronniejszego wykształcenia duchowieństwa. Bawarczyk dr. Józef Müller, ksiądz katolicki w Würzburgu, wydał świeżo dzieło, noszące tytuł: „Der Reformkatholizismus". W niem wykłada on swoje teorye i stawia żądanie reformy obecnego ustroju kościoła rzymsko-katolickiego. Żąda przedewszystkiem uznania i spożytkowania zdobyczy we wszelkich dziedzinach nauki. Następnie pragnie, by duchowieństwo kształciło się w uniwersy-

tetach, gdyż seminarya obecnie nie odpowiadają swojemu celowi. Profesorom teologii ma być przyznana większa swoboda i wolność w wykładach, gdyż obecnie nawet powagi naukowe jak żaki, zależnemi są od widzimisię władzy dyecezyalnej. Zarzuca duchowieństwu chciwość i politykomanię.

Uznanie i spożytkowanie zdobyczy we wszelkich dziedzinach nauki stoi na pierwszym planie u owego światłego kapłana, ma ono przyczynić się do podniesienia nietylko umysłowego, lecz i moralnego poziomu duchowieństwa, a następnie całego społeczeństwa katolickiego. Nic dziwnego; dla umysłu nieuprzedzonego powinno być rzeczą jasną, że każda nauka, każda gałąź wiedzy (nie tylko teologiczna) kształci nie tylko umysł lecz i serce, nietylko oświeca, lecz i umoralnia, uszlachetnia, podnosi, jak każda zdobyta prawda.

W „Przeglądzie katolickim“ czytałem przed czterema, zdaje mi się, laty o księdzu katolickim w Londynie. Miał on ogromny wpływ na wyższe i niższe sfery ludności nawet anglikańskiej. Widziano go na rautach, koncertach, w klubie, na ślizgawce. U nas by ukamieniono tak ześwieczczonego, zapominającego o powadze kapłańskiej księdza, a biskup co najmniej na pierwszy raz suspendowałby go. A jednak ten ksiądz był kapłanem według serca Bożego, prawdziwym mężem ewangelicznym. Widziano go często w najuboższych dzielnicach Londynu, w cuchnących suterenach, śród barłogów nędzarzy. Niósł chleb zgłodniałym, lekarstwa chorym, pomoc opuszczonym, a wszy-

stkim słowo miłości i pociechy, jak anioł opiekuńczy witany przez wielkich i małych, potężnych i opuszczonych przez los i ludzi. Czyż nie zgodzicie się ze mną, jeżeli powiem, że ten ześwieczczony ksiądz jest stokroć religijniejszy od naszych świętoszków, co spuszczają oczy, unikają świata i ludzi, chodzą i siedzą pobożnie myśląc o zachowaniu wobec świeckich powagi kapłańskiej, gorszą się widząc księży na koncercie lub przedstawieniu teatralnem, a jednocześnie są bezlitośni, samolubni, poza obrządkiem kościelnym i modlitwą nic nie czynią dla ulżenia nieszczęśliwej doli ludzkiej.

Nam brak takich, jak ów angielski ksiądz, coby rozumnem światłem, wymownem słowem i ofiarnym czynem pociągali do Boga i wielkich i małych. Takich księży nie wytworzy ciasny i jednostronny scholastycyzm, lecz szerokie, wszechstronne wykształcenie, które zdolne jest wnieść do duszy ludzkiej szlachetne, zdobyte przez umysł i serca ludzkie, pierwiastki i wcielić je w życie.

XI*).

(Para nowych faktów i osób. Dobrodziejstwo śmierci. Słów kilka pod adresem społeczeństwa. Cierń i mały krzyżyk. Parę słów o biskupie.

Listy powyższe nie były gołosłowną gadaniną; — oparłem je na faktach. Przytoczona tu jednak wiązanka faktów, jakkolwiek spora, stanowi zaledwo cząstkę wielkiej całości, której zebrać i wyczerpać nie mógł przecie ksiądz, unieruchomiony w jednym punkcie dyecezyi i zostający zdala od centrum, w którem się ogniskuje władza i wiadomości dyecezyalne.

W trakcie ukazywania się mej pracy w druku przybyły mi nowe wiadomości. Ks. Sajkowski nie jednego, lecz dwóch swych wikaryuszów denuncyował. O jednym wspomniałem już w liście pierwszym. Drugi wikary zawdzięcza karę klasztorną też dziekanowi oszmiańskiemu. Wikary po odprawieniu solennej Mszy św. w dzień galowy miał już śpiewać „cesarzówkę" (Pro supremo gloriosissimo), gdy przyszedł do ołtarza sam dziekan w kapie w celu wzięcia na się zaszczytu odśpiewania tej „cesarzówki". Wikary czuł się zbytecznym, ukląkł przed ołtarzem i wrócił do zakrystyi. Ksiądz patryota rosyjski widział w tym postępku wi-

*) Od autora artykułu »Stosunki kościelne na Litwie« otrzymaliśmy już po wydaniu tej pracy w odbitce »List XI. księdza do księży«, który jest niejako uzupełnieniem poprzednio drukowanych i wyjaśnieniem niektórych punktów.

Przyp. Red.

karyusza ubliżenie imperatorowi i nie omieszkał pospieszyć z donosem.

Pokrewny duchem Sajkowskiemu jest ks. Olechno, były prefekt gimnazyum męzkiego w Wilnie. Denuncyował on uczniów za czytanie książek polskich w klasie. Syt chwały spoczywa teraz na laurach jako proboszcz parafii Wszystkich Świętych w grodzie Giedymina. Toż samo rzemiosło szpiegowsko-donosicielskie uprawia ksiądz Szwarc, dziekan w Białymstoku i prefekt tamecznej szkoły realnej. Ubliżyłbym mu, gdybym nie zaliczał go do świetnego orszaku księży patryotów rosyjskich.

Gdy listy były pod prasą, paru dziekanów, mianowicie: Szymkiewicz (z Dzisny) i Diakiewicz przenieśli się już na sąd Boży do wieczności. Podobno Sajkowski i Jusiewicz też czują się blizkimi progów wieczności. „*Sic transit gloria mundi*“!

Zasługa to śmierci, że usuwa i strąca ze stanowisk tych, których biskupi usunąć nie mogli lub nie chcieli. Nowe nominacye na dziekanów wskażą, jaka będzie zasługa biskupa Zwierowicza.

Obyśmy nie byli zmuszeni widzieć w nowych dziekanach takich dominujących przymiotów jak: umiejętność dopasowywania się do okoliczności i zręczne, sprytne chodzenie około planet, krążących dokoło słońca biskupa. Paru młodych dziekanów celowo czy przypadkowo są zacnymi księżmi i stanowią dobry materyał na obywateli kraju.

Słów parę pod adresem społeczeństwa. Mianowicie:

czy nań nie spada lwia część odpowiedzialności za jakość umysłową i społeczną naszego duchowieństwa? Księża są dziećmi swojego narodu. Czyny, które w społeczeństwie zdrowem nie ujdą bezkarnie, u nas często przechodzą niespostrzeżone. Jakie społeczeństwo — takie duchowieństwo. Nietylko seminaryum, lecz i społeczeństwo jest szkołą, która bodaj więcej może i powinna kształcić sługi Boga i narodu.

Jeśli seminaryum uczuć obywatelsko-narodowych nie rozwija, to od czego jesteście wy, obywateli ziemscy, doktorowie, adwokaci, inżynierowie, wy, inteligencya nasza wiejska i miejska? Nie zbliżają się oni do was, a dlaczegoż wy nie próbujecie zrobić pierwszego kroku? Czyż nie wiecie tego, że pozyskać księży dla sprawy narodowo-obywatelsiej jest to prawie tyle, co zapewnić na Litwie tryumf tej sprawie? Wymagacie od księży przymiotów towarzyskich i znajomości „winta“. Oto i wszystko. To za mało. Dlaczego społeczeństwo najlepszych, najdzielniejszych swych synów nie śle na ten bodaj najważniejszy posterunek, na jakim stoi kapłaństwo? Dlaczego nasi literaci, powieściopisarze, poeci nie zobrazują w swych utworach pióra stanu faktycznego i typów idealnych duchowieństwa? Wszak utwory literackie to jeden z najpotężniejszych czynników, kształcących umysły i serca. Dlaczego ksiądz w dziełach twórczości poetyckiej nie znajduje ani fotografii własnej, ani wzoru dla siebie? Literatura teologiczna nie może jeszcze urobić całego człowieka, ona

kształci tylko synów kościoła, nic nie mówi o ziemi ojczystej.

Niewątpliwie listy nie wpłyną na zmianę polityki biskupa i rektora seminaryum. I jeden i drugi wywleczenie ich przed sąd opinii publicznej i ukazanie światu będą uważali za nowy cierń w koronie męczeńskiej, za nowy krzyżyk, przybywający do dawnych. W tym cierniu i krzyżyku dostrzegą swe podobieństwo z Chrystusem. Jeśli mistrza prześladowali, to tembardziej prześladować będą sługi jego, powiedzą sobie i tem się pocieszą. Resztę zasłużonego spokoju przywróci im uznanie duchów pokrewnych — a imię ich legion. Być też może, że odrazu machną lekceważąco ręką jak na warchołów, którzy ich zrozumieć i ocenić nie mogą i dalej obok pobożności będę rozwijać wierność i posłuszeństwo rządowi rosyjskiemu we wszystkiem, co się nie sprzeciwia prawu kanonicznemu, czy kościelnemu.

Niewątpliwie jednak listy te zwrócą uwagę ogółu na nasze stosunki kościelne, wywołają duskusyę, dysputy. Ze starcia się zdań, jak z uderzenia miecza o miecz, wykrzesze się iskierka prawdy. Niech poruszy się woda stojąca, może pleśń zejdzie.

Na zakończenie jeszcze słów parę. Sądzę po dłuższej rozwadze, że nie można bezwzględnie potępiać biskupa. Wina to nie jego, że się ujrzał na stanowisku dla się nieodpowiedniem. Nawet taki, jakim jest choć bez wykształcenia, odwagi i samodzielności, ale o dobrej woli i sercu wrażliwem byłby najzbawien-

niejszym dla dyecezyi, gdyby miał u boku światłych wszechstronnie kapłanów — obywateli. Wówczas byłby zbawiennem narzędziem w rękach rozumnych, jak dziś jest często nieszczęśliwem narzędziem w rękach zaśniedziałych, skosmopolityzowanych rutynistów.